№ 8 Warszawa, dnia 13 (25 Lutego) 1882 roku.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie. kwartalnie rs. 2 kop 50. Numer pojedyńczy kop. 15. Przedpłata dla GALICYI wynosi we LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu złr. 3 na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 c. 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwar. w miejscu złr. 2 c. 75 na prowincyi złr. 3 c. 50.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni LEITGEBERA i S-ki kwart. w miejscu prenumerata wynosi marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Widok Nr. 3.

WYCIECZKA DO ŹRÓDŁA BIR-EL-EIU (*)

W EGIPCIE.

Przez

Stefana Marusieńskiego.

Na wschód od miasta Akmim, starożytne Chemis, ciągnie się w pustyni arabskiej długi wąwóz, który po licznych skrętach do Czerwonego morza prowadzi.

Za czasów Faraonów wejście doń było zamknięte silną fortecą, dla ochrony doliny Nilu przed napadami barbarzyńców pustyni.

W owym wąwozie tedy, oddalone na dzień drogi znajduje się źródło słodkiej wody zwane Bir-el-Eiu, w okolicy którego, według zapewnień Beduinów, liczne stado gazeli znajdować się miało.

Od dawna już ułożyliśmy wspólną wycieczkę w pustynię i polowanie na gazele. Znalazłszy zatem kilka dni wolnych od zajęć udałem się do Akmim, gdzie już obydwaj Francuzi panowie R. i B., moi dobrzy znajomi, wraz z pewnym Anglikiem niedawno w te strony przybyłym, na mnie oczekiwali.

Po ukończeniu przygotowań i wysławszy naprzód wielbłądy z wodą i żywnością, dosiedliśmy koni i za wejściem księżyca opuścili miasto spiesząc ku wzgórzom pustyni, których ciemne kontury w oddali na horyzoncie się rysowały.

Z początku postępowaliśmy wązką ścieżką mając na lewo plantacye trzciny cukrowej, indygo i bawełny, na prawo zaś fale Nilu cicho płynące, na których od czasu do czasu jak jaskółka przemknie biały żagiel, ginąc za chwilę w srebrzystych tumanach mgły, unoszącej się po nad rzeką.

Stary Nil gwarzył smutnie, żaląc się nadbrzeżnym palmom a te słaniając wyniosłe korony i szemrząc ścicha, zdawały się przysłuchiwać w tęsknej zadumie opowiadaniom ich starego ojca o ubiegłych wiekach.

Wystraszone ibisy żeglując jak białe widma w powietrzu, spieszyły chronić się na niedostępne mielizny i piaski; od czasu do czasu ciągnące ptactwo odezwie się wysoko w błękicie chrapliwym głosem, zresztą nic nie przerwie spokoju śpiącej natury.

Nasza rozmowa z początku gwarna i wesoła, ucichała powoli, i ujęci tym czarownym widokiem czerpiąc pełną piersią balsamiczne powietrze, postępowaliśmy w milczeniu naprzód.

Po kilkogodzinnej jeździe i przebyciu niewielkiego gaju daktylowców, dostaliśmy się w końcu na wolniejsze miejsce, gdzie wśród rozległej płaszczyzny stały tu i owdzie samotne palmy i kępy figusów indyjskich, stanowiąc niejako przejście od bogatej flory doliny Nilu do smutnej nagości pustyni.

Spiąwszy konie ostrogą, przybyliśmy wkrótce do starożytnego klasztoru koptyjskiego, który już w bliskości pustyni wśród głazów i piasków jak na straconem stanowisku, swe czarne mury ku niebu wznosił.

Klasztor ten jak wiele innych w tych stronach, służył dawniej prześladowanym chrześcianom za miejsce schronienia, dziś jednak czasowo tylko przez koptyjskich zakonników zamieszkiwany, chyli się powoli ku upadkowi.

Za naszem przybyciem zastaliśmy tamże Beduina leżącego w rodzaju ogrodzenia i strzegącego kilku chudych kóz i owiec. Dowiedziawszy się o celu naszej wycieczki, okazał gotowość służenia za przewodnika, co z wielką radością przyjęliśmy: ludzie nasi bowiem drogi dobrze nie znali.

Zsiadłszy nieco z koni oczekiwaliśmy dnia, nocą bowiem podróż w pustynię nie była możebną.

Jakoż niedługo potem począł rysować się od strony Czerwonego morza różowy rąbek wschodzącego słońca a opadająca mgła odsłoniła oczom naszym olbrzymie skały granitu wznoszące się w pobliżu, kilkaset metrów wysoko nad poziom Nilu.

Beduin zarzuciwszy długą strzelbę na ramię i zamknąwszy swe owce w ogrodzeniu, podszedł kilka kroków ku pustyni i przyłożywszy ręce do ust wydał trzykrotnie okrzyk przypominający głos szakala lub wilka. Na to hasło pokazała się po krótkiej chwili w szczelinach skał postać małego chłopaka, który ze zwinnością dzikiego kota z kamienia na kamień skacząc, w kilka minut przy nas się znalazł. Było to dziecko 10-u lat może, brunatnej cery z czarnem żywem okiem i hardym lecz rozumnym wyrazem twarzy.

Na zapytanie swego brata co od wczoraj w pustyni robił, odrzekł szybko:

— Czatowałem na lisa, który w ostatnim dniu porwał naszą jedyną kurę. Muszę go żywcem dostać i w sztuki potargać, tak samo jak on z naszą kurą zrobił.

— Dobrze, spraw mu bankiet, lecz teraz weź nieco chleba, daktyli i tytoniu, idziemy bowiem z Frengami do pustyni.

Chłopczyk zapominając o lisie, żawo poskoczył i za chwilę powrócił niosąc żądane przedmioty. Karawana nasza zatem ruszyła bez zwłoki naprzód.

Wąwóz do którego wjechaliśmy, przedstawiał nader piękny i majestatyczny widok. Po obydwóch stronach drogi wznosiły się olbrzymie skały piaskowca, u stóp których leżały odłamy granitu nadzwyczajnej wielkości, przyniesione tam zape-

(*) Bir-el-Eiu po polsku znaczy „studnia oka”.

wne wodą jeszcze w przedhistorycznych czasach.

Opadająca mgła zakrywała dolną część gór, wierzchołki ich jedynie oświetlone wschodzącem słońcem, połyskiwały jak alpejskie lodowce.

Po chwili kilka promieni słonecznych przedarłszy się do wnętrza wąwozu, sprawiły przepyszną panoramę, nadając grupom sterczących głazów granitu fantastyczne kształty olbrzymich pałaców, świątyń i kolumn.

Anglik, obok którego jechałem, nie mógł się dosyć napodziwiać tego wspaniałego widoku, będąc bowiem od niedawna w Egipcie nie miał jeszcze sposobności odbyć podobnej wycieczki. Robił więc plany czasowego zamieszkania w tej pięknej okolicy, zbudowania namiotu i pędzenia życia à la Beduin.

Około południa przybyliśmy do miejsca gdzie z pod skały maleńkie źródełko wytryskało, aby za chwilę zgubić się w piasku; woda jego okazała się jednak niezdatną do picia, z powodu silnego smaku soli, w którą pokłady okoliczne obfitują.

Tutaj zsiedliśmy z koni, które służący Arab wraz z bratem przewodnika, dłuższą lecz wygodniejszą drogą na miejsce zboru miał prowadzić.

My zaś opatrzywszy się w strzelby i wziąwszy długie laski palmowe w rękę zaczęliśmy wdzierać się na skały i głazy. Przychodziło to jednak z trudnością, ciągłe bowiem usuwanie się kamieni i kawałków skał wymagało nadzwyczajnej uwagi i ostrożności w postępowaniu.

Nasz towarzysz p. R. nieco otyły mężczyzna, któremu ten rodzaj odbywania podróży niebardzo do gustu przypadał, zaproponował biwakowanie dla odpoczynku, lecz projekt jego poddany głosowaniu, został odrzuconym.

— Przynajmniej wypalmy cygaro; chwileczkę tylko dajcie odpoczynku, wyszeptał ciężko oddychając.

— Naprzód! była nasza odpowiedź.

Westchnął więc biedak i obcierając spoconą twarz olbrzymią chustką, zarzekał się iż już nigdy w życiu na podobne wycieczki wyciągnąć się nie da. Musiał więc iść naprzód i drapać się na górę.

Pocieszałem go jak mogłem obiecując iż za chwilę, tak za 2 do 3 godzin, staniemy na miejscu.

— Co, aż trzy godziny! wykrzyknął uderzając laską w ziemię tak silnie, że piasek i kamienie kaskadą się posypały. Trzy godziny mówisz, a moja manierka jakby na nieszczęście została się przy siodle.

Podałem mu tedy mój flakon z winem, wypróżnił go w mgnieniu oka i to mu nieco ochoty dodało.

W tym czasie Anglik pomimo mej rady, aby tuż za Beduinem postępować, zboczył trochę ze ścieżki dla zobaczenia jakiejś małej groty i omało iż tego życiem nie przypłacił. Doszedłszy bowiem na szczyt góry już począł prędko na dół schodzić gdy wtem spostrzegam tuż pod nim olbrzymią przepaść szeroko otwartą zdawającą się czyhać na jaką ofiarę. Na ten widok oddech zamarł mi w piersi, usuwające się kamienie bowiem pociągały go coraz szybciej ku bezdennej głębi.

— Na Boga, wstrzymaj się! te tylko słowa mogłem wykrzyknąć.

Anglik natychmiast zarywszy swą strzelbę w ziemię, zatrzymał się w tej chwili nad samym czarnym otworem strasznej przepaści. Z trwogą wielką patrzyliśmy czy ta słaba zapora długo jeszcze utrzymać go będzie mogła? Już twarz biednego człowieka powlekła się śmiertelną bladością i strzelba w rękach drżeć poczęła... gdy wtem nasz przewodnik jednem spojrzeniem zbadawszy niebezpieczeństwo, wydrapał się w kilka sekund na wysoką skałę i ztamtąd ze zręcznością gazeli w dwóch skokach był już przy Angliku, i pochwyciwszy za ramię ciągnął z nadzwyczajną szybkością na górę.

Dzięki tedy pomocy tego syna pustyni, towarzysz nasz choć nieco potłuczony i odrapany, przecież zdrowo i cało do nas przybył. Okrzyki radości powitały wracających, lecz Beduin jak gdyby nic tak wielkiego się nie stało „chwała Bogu" „Allah kerim" odrzekłszy, powoli poszedł w dalszy pochód.

Droga stawała się coraz przykrzejszą, słońce sypało żarem na nasze głowy, ogromne głazy zalegały ścieżkę, potrzeba więc było drapać się na rękach i nogach, aby za przewodnikiem nadążyć.

Wśród ciszy, którą tylko łoskot spadających kamieni niekiedy przerywał, dał się słyszeć nagle wykrzyk:

— Lis! lis! tam na wzgórku!

Natychmiast padł strzał p. B., a zwierzę przeszyte kulą, stoczyło się tuż pod nasze nogi.

Z ciekawością przyglądałem się temu zwierzęciu, nie był to bowiem lis jakich w Europie mnóstwo, lecz całkiem odmienny gatunek, wielkości dobrego szczura, koloru szarego, z ogromnemi sterokiemi uszami, był on bardzo do szynszyli podobnym. Znając zaś rzadkość tego okazu, uprosiłem sobie skórę do wypchania, na co p. B z największą chęcią przystał.

W półgodziny potem przybyliśmy do maleńkiej doliny po nad którą w połowie góry na obszernem tarasie spostrzegłem ruiny jakiegoś budynku.

Mając ciągle na myśli ową fortecę Faraonów, opuściłem towarzystwo i w kilka chwil znalazłem się w pośrodku owych ruin. Ale zamiast gruzów fortecy znalazłem ruiny klasztoru, którego powstanie, sądząc z pozostałych arkad i kolumn, na pierwsze wieki po Chr. odnieść należy. Mały napis w języku koptyjskim, gdzie słowo Chrystus kilkakrotnie powtórzone znalazłem, utwierdziły mnie w tem mniemaniu. Rozpatrując się zaś bliżej, znalazłem w maleńkiej niszy rodzaj ołtarza a nad tym szczątki malowidła przedstawiającego jakąś osobę, zapewne Ś-go Marka, słowo Murgos (na polskie Marek) u spodu umieszczone kazało się tego domyślać.

Chcąc jeszcze dalej me poszukiwania posunąć, zapuściłem się po schodach w ciemny korytarz, gdy wtem usłyszawszy kilka strzałów pistoletowych zabrałem się do odwrotu. Opuściwszy tedy ruiny i zostawiając na dzień następny dokładniejsze zbadanie takowych, przyspieszyłem kroku i wkrótce złączyłem się z mymi towarzyszami, którzy mnie temi sygnałami do siebie przyzywali.

Od tego miejsca wąwóz zaczął rozszerzać się nieco, tworząc rodzaj podłużnej doliny. Rosnące tu i owdzie krzaczki i kępy trawy, oznajmiały bliskość wody; martwa i głucha pustynia poczęła się nieco ożywiać, maleńkie jaszczurki przebiegając pomiędzy kamieniami, roztworzywszy pyszczek przyglądały nam się z ciekawością a ich skóra ubarwiona złotem i lazurem, połyskiwała w słońcu tęczowymi kolory. Roje brzęczących much bujało w powietrzu a kilkanaście szarych skalnych jaskółek uganiało się za niemi.

Niedługo potem spostrzegliśmy grupę palm i tamarysek, u stóp których w czeluściach olbrzymiej skały wytryskiwało źródło Bir-el-Eiu.

Trzykrotne hura! odbiło się echem od gór okolicznych i każdy z nas pobiegł aby jaknajprędzej ochłodzić usta kryształowej czystości wodą.

Napiwszy się do syta i odpocząwszy nieco, z czego korzystając Anglik tę maleńką oazę na papier przeniósł, puściliśmy się naprzód i po krótkim marszu spotkaliśmy nasze konie, wielbłądy i służących.

(D. n.)

Z ŻYCIA.

Widziała go raz we śnie. Smutny był i blady,
Jakiś odcień goryczy zaciemniał mu wargi:
W oczach łez nie dostrzegła, ni żalu, ni skargi,
Tylko cichej wymówki czytała w nich ślady.

Widziała go raz we śnie, jak z sercem zbolałem,
Na cały ród niewieści rzucał anathema!
Wołał: cóż warta dla nich miłość z ideałem,
Jeśli uczucia wyraz dźwięku złota nie ma?!

Widziała go na jawie. Organy już grały,
On klęczał przed ołtarzem przy młodziutkiej żonie;
I twarze nowożeńców szczęściem promieniały,
Gdy przysięga na wieki związała im dłonie:
A potem przyjaciele szeptali na stronie,
Że *ona* prócz urody ma posag wspaniały!

Emilia.

Radoszewice.

Z PAMIĘTNIKÓW
Leandra Szyszeczki-Walskiego.

Spisane przez

Ludomira Szczerbowicza Wieczora.

(Dalszy ciąg.)

Rozmaitość danych co do wieku, w którym ktoś siebie po raz pierwszy pamięta, pochodzi z bardzo naturalnej przyczyny, z niejednakowej siły pamięci i z zacierania pierwszych wrażeń przez następne. Że zaś ten fakt nie wynika z późnego jakoby wytworzenia się samowiedzy czyli poczucia własnego *ja*, które rzekomo zjawia się w 2 lub 3-m roku życia, dowodem tego jest właśnie trafiająca się, choć rzadko, pewnie nie u mnie tylko samego, pamięć o swem istnieniu już w 1 roku wraz po urodzeniu. Gdyby to bowiem było prawdą, jak dowodzą filozofowie szkoły materyalistycznej, że dziecko, przychodząc na świat, nie przynosi nic z sobą i dopiero przy pomocy wrażeń zmysłowych musi dorabiać się nietylko samowiedzy i poczucia własnego ja, ale nawet samej władzy poznawania, kombinowania czyli myślenia i t. p., jednem słowem dorabiać się dopiero samej tak zwanej duszy, to widoczną jest rzeczą, iż cały ten długi proces nie mógłby odbyć się w istocie tak wątłej, jak dziecię nowonarodzone, prędzej jak w lat kilka. Toż nawet samo wykształcenie jakie takie zmysłów, u niemowlęcia tak słabych, potrzebuje dłuższego czasu, a cóż dopiero samowiedza, czyli poczucie własnego *ja*, które już ma być, podług ma-

teryalistów, wynikiem zaczerpniętych owemi zmysłami pojęć o świecie zewnętrznym. Gdyby tak było, to nawet ludzie najgenialniejsi potrzebowaliby na to wszystko lat kilku, a ludzie niegenialni, jak np. ten, który to pisze, żadnym sposobem nie mogliby siebie pamiętać w pierwszym roku życia.

I jakież to jest wspomnienie pierwotne o owem *ja?* mogą zapytać przeciwnicy. Otóż właśnie, wbrew wzmiankowanym powyżej ich przypuszczeniom, jest to czyste wspomnienie własnej *osobistości*, nawet nie swego ciała, ale czystego *ja*, a więc czyste poczucie samowiedzy — przekonanie, że to *mnie* kiedyś stawiała na fortepianie niańka, że owa istotka — to ten sam *ja*, który to piszę. Nadto, jeszcze na przekór powyższej teoryi o urabianiu się samowiedzy drogą zmysłów, daremno szukam w pamięci wspomnień o rzeczach zewnętrznych z owego czasu niemowlęctwa: fortepian (jakaś rzecz czerwona) i druga rzecz okrągła żółta (stół, serwetą okryty) — oto jedyne przedmioty, przesuwające się mglisto w pamięci, obok niezwykle jasnego wspomnienia i poczucia własnego *ja*. Żadnych więcej wspomnień zmysłowych z owego czasu, ani nawet o niańce, ani o rodzicach; mniemam nawet z pewnością, że i same zmysły bardzo słabo były wówczas wykształcone, gdyż wszystkie wspomnienia, które przez zmysły przeszły —wspomnienia rzeczy widzianych i słyszanych — pochodzą z dalekо późniejszej epoki, gdy miałem niemniej jak lat cztery. Nie potrzebuję również uprzedzając możliwe zarzuty, dodawać, że oznaczenie co było *pierwej*, a co *później*, chociaż bez ścisłej dokładności, możliwem jest prawie zawsze we wspomnieniach dzieciństwa, które skupiają się grupami, a więc przy pomocy późniejszych wiadomości i zastanowienia, da się określić, co należy do wspomnień wcześniejszych, a co do dalszych.

Tak według mego zdania, na wyłuszczonych podstawach opartego, samowiedzę czyli poczucie własnego *ja* człowiek przynosi z sobą na świat i jest ono dawniejszem niż wszelkie wrażenia zmysłowe, poprzedzającem nawet samo wykształcenie zmysłów. Proszę czytelników, ażeby poszperali we własnych wspomnieniach a niejeden zapewne dojdzie do podobnych wniosków. A toż przecie i badania najnowszych psychologów stwierdzają, że małe dziecko w kolebce, gdy je ukłóć szpilką, nie wie jeszcze, czy boli je rączka czy nóżka—czuje tylko, że boli, a umiejscowienie tego wrażenia przychodzi później. A więc boli *je*, boli *ja* dziecka, boli niejako dusza; dopiero zaś drogą doświadczenia dziecko dowiaduje się, że to boli właściwie rączka lub nóżka. Wypadałoby ztąd, że poczucie własnego *ja*, samowiedza, a więc poczucie ducha niecielesnego, jest starszem od poczucia ciała. Istotnie każdy to sprawdzić może, iż ile razy myśli o sobie, o własnem *ja*, nie staje mu w myśli kolor jego oczu, włosów, wzrost, rysy twarzy i t. d., lecz to poczucie *ja* jest niecielesne, odrębne od ciała, bezpośrednie i od zmysłów niezależne.

Niezmiernie byłoby ciekawą i pouczającą rzeczą, gdybyśmy mogli dokładnie znać, określić i ocenić wszystkie wrażenia duszy dziecięcej, nietylko pod względem ich ilości, ale także i pod względem jakości, to jest gdybyśmy mogli zbadać, jakie wrażenie wywoływały w umyśle młodocianym zdobywane przez niego coraz to liczniejsze i obfitsze wiadomości i spostrzeżenia.

I tu także pedagog i psycholog prędzej, choćby w przybliżeniu dopiął tego celu, gdyby miał pod ręką, oprócz wspomnień własnego dzieciństwa, jak największą ilość wspomnień innych ludzi. Co do mnie, sięgając do najwcześniejszych swych wspomnień, spostrzegam, że dziecinny mój umysł nietylko przyswajał coraz to nowe i obfitsze wrażenia bez trudności, ale nadto nie okazywał, jakby się spodziewać należało, tego bezgranicznego podziemia, jakie powinnoby napełniać duszę młodocianą przy poznawaniu nowych, nieznanych jej przedmiotów, i nabywaniu nowych wrażeń.

Umysł dziecięcy przyjmuje całe to pasmo nowych nabytków z wielką, bez zaprzeczenia *ciekawością*, ale bez wielkiego *podziwienia*, niby nabytek sobie należny, niby jakieś odnalezione, po części już sobie dawniej znane dziedzictwo. Wiadomo, że niektórzy myśliciele i marzyciele przypuszczają cały szereg żywotów ludzkich i w każdym późniejszym widzą sporą ilość wspomnień z poprzedniego życia — wszak to przypuszczenie stanowi jedną z zasadniczych podstaw nauki, głoszonej 22 wieki temu przez genialnego Platona. Że są jakieś mgliste przypomnienia tego rodzaju — każdy wie z doświadczenia: tak częstokroć wobec nowego widoku lub nowego wrażenia ni ztąd ni zowąd odzywa się w duszy wspomnienie — człowiek bywa tknięty i uderzony myślą, że coś podobnego już dawniej mu było znanem. Nie lekceważą tego faktu i nowsi uczeni; jeden z nich, znany filozof popularny, Fortlage tłomaczy ten fakt tem, że wrażenie z szybkością błyskawicy rodzi już myśl o sobie — myśl o wrażeniu — i dlatego to ostatnie wydaje się już nam znajomem. Wszelako to objaśnienie całkiem zadowolnić nie może. O ile sięga moja pamięć, podobne przypomnienia występowały w mej duszy szczególniej wybitnie przy pobieraniu pierwszych nauk: przyjmowałem je wprawdzie z zaciekawieniem, ale z takiem częstokroć uczuciem, z jakiem odnajdujemy rzeczy dawno zgubione. I dlategoto może odgadywało się wiele, umysł zabiegał naprzód, wyprzedzając i poprawiając sam przez się nieudolność nauczyciela lub niezdarność metody, co jak mniemam, nie jest oznaką żadnej genialności, lecz wrodzonej umysłowi ludzkiemu *zdolności* do nauki. Ponieważ zaś wyraz *zdolność* pozostaje zawsze tylko niewytłomaczonym wyrazem, może więc właśnie zdolnością jest droga naturalnego przypominania dawnej swej umysłowej puścizny — może nauczanie bynajmniej nie jest wpajaniem w umysł czegoś nowego, lecz wykrzesywaniem zeń iskier, już tam oddawna w stanie ukrytym istniejących. Może i może... a kwestya to niezmiernie ważna; wyjaśnienie jej byłoby nieocenionym nabytkiem w sprawie wychowania: poznawszy, że tak powiem, naturę krzemienia i drzemiących w jego łonie iskier, wiedzielibyśmy, jak i jakiego krzesiwa należy używać. Wyjaśniłoby się może wtedy, dlaczego to lub owo dziecko ma szczególny pociąg do jednej, a wstręt do innej nauki, której ziaren może w naturze swej nie posiada. Niedarmo to powiedział Gete, że oko zdolnem jest widzieć światło dlatego tylko, że samo jest świetlane, jak i duch hołduje bóstwu dlatego, że sam jest boskim.

Co do wzmiankowanych sympatyi i antypatyi umysłu dziecięcego, wprawdzie, o ile wnosić mogę z własnych wspomnień, w czasach szkolnych jedni chłopcy okazują pociąg do humaniorów — do lingwistyki i historyi, unosząc się łatwo uczuciem i wyobraźnią, tymczasem gdy inni wolą nauki ścisłe i matematykę, dla tamtych suchą i nieponętną; mniemam jednakże, iż te sympatye są wytworem późniejszym, skutkiem nietylko sposobu wykładania wymienionych przedmiotów, ale także wielu innych okoliczności domowych i szkolnych, po większej części przypadkowych. Usposobienie i charakter dziecka odegrywają tu, niewątpliwie, pewną rolę, ale usposobienie i charakter, wtedy jeszcze niecałkiem wyrobione, podlegają również tym samym wpływom przypadkowym; a zresztą i samo dziecko może w siebie wmówić i starsi często w dzieci wmawiają, że brak im zdolności do tej lub owej nauki, a za tem idzie zwykle sympatya lub antypatya. Że dziecko woli tę naukę, która mu łatwiej przychodzi i w której, bez wielkiego wysiłku, łatwiej mu się odznaczyć — rzecz pewna; ale zarazem, czy nie dlatego właśnie przychodzi mu łatwiej pewna nauka, że woli tę niż inną? Oto pytania, w których przyczyny łączą się ze skutkami, jak i wogóle w sprawach ludzkich, będących częstokroć tylko błędnem kółkiem...

A zatem, skoro sympatya płynie z większego uzdolnienia, a większe uzdolnienie z większej sympatyi, zdawałoby się przeto, że oba czynniki dałoby się wyrównać. Przypuszczenie to zdaje mi się tem prawdopodobniejsze, że w dziecku, rozpoczynającym nauki, uznaję *jednakową* zdolność do wszystkich gałęzi wiedzy (oczywiście, w stosownym stopniu i zakresie) i to zdolność olbrzymią.

Może źle powiedziałem, *w dziecku, rozpoczynającem nauki* — kto wie czy nie *u dziecka od jego urodzenia*, gdyż rozpoczynające naukę dzieci istotnie okazują *na pozór* większe lub mniejsze uzdolnienie do tej lub owej umiejętności ale jest to już pewne *wykrzywienie*, spaczenie i złe skierowanie pierwotnej zdolności ogólnej, a wina tego gwałtownego zwężenia zdolności i jednostronnego jej skierowania ciąży na wychowaniu pierwiastkowem, na pierwszym i najważniejszym jego okresie, rozciągającym się od kolebki do elementarza. To jest, właśnie, jak mniemam rdzeń kwestyi: pierwiastkowe pożywienie i odzież, przedmioty otaczające, postępowanie mamek, nianiek i rodziców, warunki bytu, wrażenia lat pierwszych i to wszystko, co dziecko widzi i słyszy, wreszcie może i warunki hygieniczne i stan zdrowia i powietrza wszystko to razem musi wpływać na owo zwężenie ogólnej zdolności umysłowej i przyśpieszenie zbyt wczesnego i szkodliwego pociągu do pewnej specyalności.

Głównem więc zadaniem jest utrzymanie tej zdolności w jednostajnym, wszechstronnym i równoległym rozwoju: zadanie trudne niezmiernie, a tem trudniejsze, że nauka, która podawałaby zasady i przepisy postępowania w tym kierunku, dotychczas jeszcze nie istnienie, a nawet kto wie, czy wogóle jest możliwą. Tyle tu wpływów drobnych i potężnych, tyle tu znaczy *przypadek*. Pozostaje więc tylko polegać pod tym względem na szczęśliwym instynkcie światłych i bez zaślepienia do dzieci przywiązanych rodziców; nie zawadzi jednak przypomnieć im owo zadanie (*wszechstronne kształcenie zdolności umysłowych*), ażeby ten cel wyraźny mieli przed oczami, kierując pierwszemi objawami budzącej się duszy dziecięcej.

Przeciwko wyrażonemu powyżej mniemaniu o jednostajnem uzdolnieniu umysłowem dzieci do wszystkich nauk, nie przemawia bynajmniej znany powszechnie fakt *przewagi* pamięci w wieku dziecinnym, a raczej samo to zbyt bezwzględne zaznaczenie i sformułowanie tego faktu powinno, zdaniem mojem, być podane w wątpliwość. Prawda, że pamięć w wieku dziecinnym jest potężną: wiem *o tem* dobrze z własnego doświadczenia, gdyż zawsze celowałem olbrzymią pamięcią. Jest to podobnem, gdyż niezmiernie wiele pojęć musi pochłonąć w siebie umysł dziecinny, mniemam jednak, że i reszta władz umysłowych dziecka — rozum, czyli zdolność zastanawiania się, uczucie i wyobraźnia — są również w wysokim stopniu. Mniej to dostrzegamy, a olbrzymia pamięć dziec-

ka łatwo i odrazu bije nam w oczy dlatego, że pamięć ujawnia się sama przez się, jest władzą duchową bardziej bierną i nie potrzebuje ciągłego kierownictwa, wówczas gdy uczucie i wyobraźnia, a przedewszystkiem rozum, potrzebują starannej uprawy, umiejętnego pobudzania i troskliwego na każdym kroku kierownictwa. Pamiętam, że wszystkie nauki przychodziły mi z łatwością, a szczególniej zadania pamięciowe przyswajałem tak prędko, że większą część dnia nie miałem nic do roboty; pamiętam jednak do jakiej potęgi mogły być rozbudzone uczucie i wyobraźnia przy stosownem kierownictwie (pod wpływem stosownego wychowania religijnego i moralnego, czytania dobrych książek dziecinnych, a głównie *żywych przykładów*), a działalność rozumowa np. przy nauce matematyki, dawała równie dobre rezultaty, lecz wymagała *cierpliwości*. Pamięć działa szybko, rozum powolniej, *z zastanowieniem*, jak to wybornie maluje sam ten wyraz.

Żywy temperament większości dzieci wymaga pewnego przymusu i refleksyi, ażeby umysł dziecinny doprowadzić do takiej samej, mniej więcej, wyżyny co i pamięć. Powiadam *mniej więcej*, bo wiem dobrze o nadużyciach wszelkich zbyt bezwzględnych teoryi, gdyż takie najczęściej zostają w sprzeczności z praktyką. Nie będę więc upierał się przy bezwzględnem twierdzeniu, że wszystkie władze umysłowe u wszystkich dzieci, choćby nawet i od urodzenia, są *zupełnie jednakowe*, gdyż to kwesta niedość jasna abyśmy mogli ją rozstrzygnąć z matematyczną dokładnością, zwłaszcza, że nieznane są nam możliwe tajemnicze wpływy, od rodziców i przed przyjściem na świat odbierane.

Nie chcę być zbyt idealnym teoretykiem, ale przeciwnie, jak najpraktyczniejszym, jak najtrzeźwiejszym *pozytywistą* (w prawdziwem i szlachetnem tego wyrazu znaczeniu), sądzę więc, że w praktyce wychowawczej będzie bardzo pożytecznem przekonanie, że chociaż może nie wszystkie dzieci są jednakowo do wszystkiego uzdolnione (bo nie byłoby w takim razie geniuszów), to jednak żadne dziecko nie jest z natury tępem i niezdolnem: wierzmy więc i zwróćmy do tego wszystkie usiłowania, ażeby nasze dzieci nie okazywały się później *tępemi* i *niezdarnemi*, jak to nieraz bywa, z winy pierwiastkowego wychowania (o ile to nie nastąpiło wskutek chorób lub nieprzewidzianych nieszczęśliwych wypadków).

* * *

(*D. c. n.*)

O jesiennym zmroku,

(Dumka.)

Burza jęczy... burza szumi,
Wśród jesiennej słoty,
Lecz boleści nie zatłumi
Nie zgłuszy tęsknoty.

Bo też ciężko i boleśnie,
Walczyć wciąż ze łzami,
Gdy tu radość tylko we śnie
Chwilowo nas mami.

O! bo trudno na tej ziemi,
Ufać, mieć nadzieję,
Gdy niedola wciąż się plemi
A łzy rozpacz leje!

Gdy marzenia i ideje
Wielkie ukochane,
Lada podmuch w proch rozwieje,
Jak bańki mydlane!

I gdy wkoło smutek czytam
W myśli, w pieśni, w mowie...
To sam siebie z żalem pytam
Co się szczęściem zowie?!

Kazimierz Lechnicki.

DO ALGIERU
przez Hiszpanią i Maroko.

Przez

T. VERNES d'ARLANDES.

Przekład

J. Belejowskiej.

(Dalszy ciąg.)

III.

ESKURIAL.

Noc spędzona w wagonie kolei żelaznej, często nader długą nam się wydaje. Daremnie badamy otaczające nas ciemności, przypuszczając naturalnie że miejscowości jakie przebywamy są nadzwyczaj zajmujące: pozostają one dla nas zagadką. Nareszcie jutrzenka pojawiać się zaczyna, i oto zamiast urodzajnych falujących łanów, pierwsze promienie wschodzącego słońca rozjaśniają jałową pustynię. Dokoła widać tylko same skały i granitowe odłamki, i zaledwie gdzieniegdzie, w jakiemś załamaniu gruntu jakieś mizerne ździebło trawy, jakiś maleńki strumyk szemrzący w głębi małych dolinek. Posępny ten, dziki prawie krajobraz, zwiastował że zbliżamy się do ponurego Eskurialu; trudno byłoby wynaleźć odpowiedniejszą okolicę dla tych co zamierzyli wyrzec się świata i pychy jego.

Nareszcie pomimo mgły porannej, dostrzegliśmy w tej pustyni wielki gmach, jakby bezmierny złom granitu w którym poprzebijano tysiące otworów. Rozmiary są kolosalne ale nie ma w nich nic wzniosłego, nic majestatycznego.

Tak nadzwyczaj nędzna stacya kolei, jak i droga prowadząca do Eskurialu, nie przyczyniają się bynajmniej do podniesienia wrażenia, zwłaszcza że zimno było przenikliwe, a blade promienie słońca zaledwie zdołały przedrzeć mgły poranne i rzucić na wielkie ponure mury słaby odbłysk światła, uwydatniający ich posępność.

Wstępując na pochyłość, na jakiej wznosi się monaster i rozpatrując się w całem otoczeniu tej królewskiej letniej rezydencyi, podziwiałem szczególniejsze upodobanie większej części królów hiszpańskich, w tej dzikiej i samotnej miejscowości. Czy chcieli zapomnieć tu o ciężarach i nudach panowania, czy też rozmyślać swobodnie o swoich często krwawych zamiarach, rzadko kiedy przyjaznych wolności i tolerancyi?

Jeśli architektura odznacza się wyraźnym stylem, zdradza zwykle charakter i usposobienie monarchów którzy wznieśli gmach lub pomnik: dowodem tego Eskurial. Dość spojrzeć na niego aby poznać Filipa II; dość przejść ciemne, pełne tajemniczych załamań korytarze i przejścia olbrzymiego gmachu, aby zrozumieć czem była inkwizycya; sam nawet kościół jest tak przygnębiająco surowy i posępny, iż zamiast budzić, odbiera nadzieję nieba.

Postanowiwszy na swój sposób prowadzić życie zakonne, król postanowił sobie także zamieszkać w celi. Pokazują ją podróżnym; jest mała, uboga, pobielona wapnem, a jednakże w niej to groźny monarcha dawał posłuchania ambasadorom. W tej ciasnej kilkostopowej przestrzeni, rozstrzygały się losy dwóch światów. Jeśli niekiedy królewski zakonnik wyrzucał sobie jakiś niesłuszny potępiający wyrok, jakoś nadto krzyczącą zdradę, otwierał małe okienko wychodzące na kościół tuż koło wielkiego ołtarza i kazał odprawiać Msze św. Przepych dający się dostrzedz przez to małe okienko, blask złoceń i marmurów, dziwną tworzy sprzeczność z nagiemi ścianami ubogiej celki.

Dziwna ta osobistość historyczna, odbiła wszędzie swe piętno na tej zakonnej nekropoli. Pełna sprzeczności postać jego, zdradza naturę istnie hiszpańską. Filip II był zarazem okrutnym i religijnym, zabobonnym i odważnym, zimnym i namiętnie fanatycznym, całkiem oddanym dwom wyłącznie myślom: wytępienia herezyi i spełnienia ślubu jaki złożył w Saint-Quintin, w tej pustyni granitowej w której nieustanie błagał miłosierdzia Bożego, gdzie skazywał się na nieustanne posty i biczowanie, trzymając jednocześnie w żelaznej dłoni wodze rządu swego państwa „w którem słońce nigdy nie zachodziło.”

Z tej celi, w której Filip II zakończył życie, przeszedłszy długi szereg ciemnych schodów, na których poprzedzał nas przewodnik niosący migotliwą lampkę, zeszliśmy do Panteonu, wysokiej ośmio-kątnej krypty, w której monarcha ten spoczywa, obok trzydziestu pięciu króli i matek królów. Z początku wzrok nasz gubił się w ciemnościach, ale gdy przewodnik zapalił pochodnię, zajaśniały nam nagle na złoconych bronzach sarkofagów wspierających się na czarnych marmurowych stopniach, wielkie imiona: Filipa II, Karola III, a szczególniej Karola V, przewyższającego wszystkie, zarówno jak on górujące nad innymi w historyi. Urok wielkich ludzi jest tak potężnym, iż przypuszczamy że zwłoki ich nie podlegają zepsuciu dotykającemu ciała zwykłych śmiertelników, — to też nie pozostawiono w spokoju zwłok wielkiego monarchy, i dwukrotnie otwierano jego trumnę. Ostatni raz było to podczas bytności cesarza brazylijskiego. Lud madrycki cisnął się tłumnie, wiedziony zabobonną ciekawością, i wpatrywał się z nadzwyczajnem zajęciem w oblicze tego trzechwiekowego nieboszczyka, który okazał się jakby cudownie zachowanym.

Wiele mówiono i pisano o przerażeniu jakie budzi ta krypta grobowa: przyznać muszę, że co do mnie, nie doświadczyłem nic podobnego. Te bogato zdobne skrzynie stojące na lśniących marmurach, w których odbija się najsłabszy promyk światła, nie sprawiły na mnie zbyt poważnego wrażenia: przybytek ten zmarłych nie ma w sobie majestatu grobu.

Patrząc na te marmury kryjące się w tak wielkiej głębokości, pomyślałem sobie: iż choć tu, równie jak wszędzie, nie można wyłamać się z pod praw Bożych, to przynajmniej da się uniknąć pokuszeń i napaści ludzkich. Gdzieindziej sponiewierano niejednokrotnie i puszczono z wiatrem popioły królów — tu zniewaga nigdy dosięgnąć ich nie zdoła.

Z Panteonu przeprowadzono nas do grobowej pieczary, zwanej *el Pudridero*, w którem nagromadzone są bezładnie zwłoki królowych zmarłych bezdzietnie, oraz książąt, książęcych i księżniczek z królewskiej rodziny. Uderzeni niestosownością

takiego nagromadzenia trumien, Izabela II i książę Montpensier, rozkazali urządzić na ich koszt cały szereg grobów, tworzących prawdziwą nekropolę; w tych pieczarach każdy książę czy księżna, nie wyłączając Don Karlosa ani Don Juana, będą posiadać własne groby. Ściany pokryte być mają kosztownemi marmurami, i o ile można wnosić z dokonanych już robót, zarówno jak i grobowce odznaczać się będą prawdziwie starożytną powagą i szlachetnością stylu. Gdy nekropola ta zostanie ukończoną, stanowić będzie najwięcej zajmującą część Eskurialu.

Po zwiedzeniu grobów przeszliśmy do kościoła, niby od przerażenia do nadziei — i dziwna rzecz! sprawił na nas zupełnie przeciwne wrażenie. W grobach nie ma nic przerażającego, żaden niepokój nie miota w nich duszą, gdy tymczasem groźnie wspaniały widok wnętrza kościoła, przygnębia i przejmuje trwogą. Bez zaprzeczenia wszystko tu jest wielkie i majestatyczne, ale zarazem ponure i przerażające. Sinawe światło padające od kopuły, cienie jakie rzucają niezwykłe wystawności tej zadziwiającej architektury, nasuwają nam myśl iż nie przyszliśmy dobrowolnie do domu Bożego, ale że zamknięto nas w wielkiem więzieniu. Wprawdzie tak po prawej jak po lewej stronie ołtarza, dostrzegam postacie ludzkie w kornej, modlącej się postawie, ale modlący się wierni to Karol V i Filip II, nieruchomi, bronzową przyodziani szatą. Tak oni, jak każda zresztą ludzka istota, nigdy dość kornie nie może paść na kolana przed Bogiem miłosierdzia, i tak pozostać choćby wieczność całą — ale tu można się obawiać żeby nieubłagane te mury nie świadczyły właśnie przeciw temu który je wystawił, i nie udaremniały jego modłów. Bo o czemże to dziki monarcha myślał siedząc między zakonnikami w stalach ginących w ciemności?... czy o dobrych uczynkach jakie spełniać zamierzał, czy o zbrodniach tak strasznych jak odebranie życia własnemu synowi i popieranie nadużyć Inkwizycyi?... Takie bowiem były rezultata rozmyślań jego w obec Boga, któremu zbudował ten przerażający przybytek.

Wiadomo, że Filip II nie uśmiechał się nigdy, a śmiał się raz tylko w życiu, gdy się dowiedział o rzezi Ś-go Bartłomieja.

Księżyc świecił jasno, opuszczamy Eskurial, aby udać się do Madrytu; z uczuciem jakiejś ulgi rzucamy ostatnie spojrzenie na ten klasztorny pałac, którego mury wydają się teraz bledsze jeszcze i posępniejsze. Krajobraz fantastyczniejszą jeszcze przybiera postać; pomyślałem sobie że jedna z tych przygód, mniej więcej prawdziwych, jakie tak często opisują podróżnicy, przyczyniłaby się bardzo do ożywienia samotnej i ponurej okolicy. Wtem nagle ozwał się przeraźliwy krzyk wzywający do zatrzymania pociągu, który jak się to zwykle dzieje w Hiszpanii, nie szedł prędzej jak za dawnych czasów stare dyliżanse. Otóż jest awantura jakiej życzyłem sobie przed chwilą! Przysuwamy się do okien i przy świetle księżyca dostrzegamy gromadkę mężczyzn wysokiego wzrostu, najmniej zawodniej jedną z tych głośnych band rabusiów kryjących się w Guadarrana, zdającą się oczekiwać na nas tuż prawie pod bramami stolicy. Ani wątpić! odróżniamy wyraźnie błysk broni; niektórzy pochylili swoją, co zdaje się wskazywać że celują do maszynisty i do konduktora — i pogróżka nie była widać bezskuteczną, gdyż pociąg zatrzymał się niebawem. Śpiesznie zamieniono kilka słów, poczem otworzono drzwi pierwszego wagonu i banda rabusiów rzuciła się do niego — przygoda zaczynała być zanadto zajmującą. Siedziałem w drugim wagonie wraz z kilku cudzoziemcami, byliśmy przygotowani na ich odwiedziny, zamierzając badać odważnie ten szkic obyczajowy, który, przyznać to muszę, stawał się teraz mniej pożądanym. Wtem odgłos rozmów przebudził jakiegoś hidalgo, który od samego Eskurialu spał sobie spokojnie w rogu wagonu; ponieważ widocznie nie wiedział co się dzieje, uznałem stosownem przestrzedz go, aby się przygotował do czekających nas nocnych odwiedzin; ale niestety! pierwsze zaraz jego słowa zniweczyły nadzieję zakosztowania bohaterskiej przygody. Objaśnił nas że owa mniemana zgraja bandytów, to poprostu gromadka zapóźnionych myśliwych. Ponieważ w tej pustej okolicy nie ma nigdzie stacyi kolei żelaznych, wolno jest pociągom zatrzymywać się aby ich zabierać. Gdy tylko skiną bronią, pociąg staje, jak najpospolitszy omnibus, gdy ktoś kiwnie na woźnicę parasolem lub ręką.

(*D. c. n.*)

KILKA SŁÓW

O PIŚMIENNICTWIE CZESKIEM.

(Dokończenie.)

Pani Marya Rozwadowa przełożyła z niemieckiego, odczyt nieżyjącego już profesora Bolzana: „O godności i powołaniu rodzaju żeńskiego", w którym uczony ten mąż, opierając się na nauce i przykładach z Ewangielii, dowodzi ze kobiety mają wszelkie prawo dążyć do duchowego i umysłowego rozwoju i wyższego wykształcenia.

Na każdym kroku Czeszka poczuwa się do obowiązków względem kraju, a rozumiejąc całą ich doniosłość, w gorących słowach drugim je przypomina.

W dziele pod tytułem: „Literatura i sztuka", znajdujemy ciekawą polemikę z powodu teatru, między redaktorką a którąś z jej czytelniczek, upominającą się aby repertuar miał na względzie kobiety i nie dawał sztuk na których one bez wstrętu bywać nie mogą; ponieważ należały do składek, mają więc wszelkie prawo o to się upomnieć. Na to szanowna redaktorka odpisuje, że miała zamiar upomnieć się także o to w imieniu swych czytelniczek, ale później zastanowiła się, że one same kłam jej zadadzą, uczęszczając do teatru na najgorsze sztuki. Teatr musi dawać te sztuki które kasę zapełniają, a doświadczenie nauczyło, że jak tylko dają poważną, klasyczną sztukę, teatr bywa pustym. „Od was to więc moje panie zależy, powiada redaktorka, aby się teatr podniósł i zasilił prawdziwie pięknemi i wzniosłemi utworami. Niech tylko każda da sobie słowo iść do teatru na każdą dobrą, oryginalną sztukę, unikając sprośnych tłomaczeń z obcych języków, a to się więcej przyczyni do zmiany w repertuarze aniżeli wszelkie pism odezwy.

W taki to sposób Czeszki obowiązki swoje na każdem polu pojmują. Gdybyśmy i my chciały wstępować w ich ślady, ilebyśmy zmian korzystnych przeprowadzić mogły, ile złego usunąć, ile dobrego uczynić! Brakaje nam tylko rozumnego poczucia solidarności i tego przekonania że: „małemi a wspólnemi siłami" wiele zrobić można. Dzieje świadczą, że nam nigdy nie zbywało na poczuciu ważności danej chwili, na energii i poświęceniu; każda z nas może nie jedną zna kobietę, której ciche cnoty, zaparcie się siebie samej, praca bez wytchnienia, jest chlubnem świadectwem jej pojęcia obowiązków. Takie jednak jednostki, pracując samotnie w swojem otoczeniu, giną w zapomnieniu, gdy połączone wspólną myślą i wspólnie pracując, utworzyłyby potęgę i pociągnęły za sobą wiele z tych, które przy najszlachetniejszych pragnieniach, po omacku dróg swoich szukają.

Sprawy spółki i szkoły przy niej istniejącej, wiele miejsca w „Żeńskich Listach" zajmują, oraz rachunki z ubiegłego miesiąca. Wymienione są tu wszystkie ofiarodawczynie, członkowie i panie biorące udział w jakiejkolwiek zabawie na rzecz spółki, jak odczyty, koncerta i teatra amatorskie. Spółka zasila nadto swemi funduszami inne uboższe stowarzyszenia i dobroczynne zakłady, zwłaszcza Stowarzyszenie Nauczycielek, a te z działalności swojej przesyłają do spółki sprawozdania ogłaszane zawsze w „Żeńskich Listach". Dzięki temu, wszystkie kobiety czynne i dobrej woli, znają się i łączą w jednem wspólnem ognisku: pracy, wzniosłej myśli i gorących uczuć, mającem na czele takie kobiety jak Karolina Swetla i Eliza Krasnohorska.

W rozmaitościach spotykamy się ze wzmianką bardzo pochlebną o kobietach polskich za czasów Jagiellonów, o ich stroju i zwyczajach, nic tam jednak nie ma czegobyśmy nie znały. Dalej o uczonych księżniczkach, o znaczeniu uniwersytetu narodowego, a wreszcie o prawie angielskiem, które się ujęło za dziećmi i kobietami. Los tych w Anglii biednych istot był nadzwyczaj nieszczęśliwy. Bez względu na ich siły, po 16 do 17 godzin dziennie pracowały w kopalniach węgla i po fabrykach; to też kobiety w tej miejscowości, nie żyły dłużej nad 32 lata. Były fabryki tak urządzone, że koła machin poruszało paręset rączek dziecinnych. Dzieci te zakupywali właściciele owych fabryk od górników. W pewnej osadzie układ był taki, że na dwadzieścia dzieci zdrowych, kupujący musiał brać jedno kalekę lub idyotę. Rzecz się ta odkryła z powodu bankructwa jednej takiej fabryki i pośród innych przedmiotów należących do jej właściciela, wystawiono na sprzedaż znaczną ilość dzieci.

Nieszczęśliwe te istotki jak niewolnicy, od rana do nocy, od nocy do rana, pędzone były do pracy. Dzielono je na dwie partye, zmieniającą się tak w pracy jak i we śnie. Partya dzienna rzucała się na łóżka które partya nocna zaledwie opuściła. Dlatego też dotąd jeszcze wspominają w Lankaschirze, że łóżka te nigdy nie wystygały. W pewnej miejscowości natura sama pomściła ten gwałt prawom jej zadany, i w śród tych istot, źle żywionych, nędznie odzianych i pracą znużonych, wybuchła złośliwa febra, która nietylko że ich samych zdziesiątkowała, lecz zaczęła się groźnie szerzyć w całej okolicy. Przestraszeni mieszkańcy miast i wiosek sąsiednich, ostatecznie oburzyli się na ten stan rzeczy i przedstawili go władzy.

Ma się rozumieć, że w parlamencie znalazły się serca szlachetne i energiczne, które się w to wdały aby na zawsze ukrócić takie nadużycie. Od tej pory niewolno kobietom pracować dłużej nad pewien czas oznaczony a małoletnich do ciężkich robót przyjmować.

Na tem kończymy sprawozdanie nasze, może nam kto powie że „Żeńskie Listy" bardzo ubogie treścią, lecz nikt nie zaprzeczy, że bogate duchem który je ożywia. Są one odbiciem życia umysłowego, potrzeb i pragnień kobiet czeskich. Te pra-

gnienia i potrzeby i u nas się już budzą, lecz są jeszcze nieokreślone i nie przybrały stałej formy, ponieważ tylko pojedyńczo i niejasno dają wiedzieć o swojem istnieniu. Mam tu na myśli głosy kobiece, które się od czasu do czasu odzywają w rozmaitych czasopismach. Każda pragnie rzeczy dobrych, pożytecznych, a nawet koniecznych, ale głosy te pozostaną głosami na puszczy wołających, dopóki same się do pracy nie wezmą, opierając ją na gruncie realnym i praktycznym. Nie wiem w jaki sposób Czeszki rozpoczynały swoje samodzielne prace, dość że po dziesięciu latach doszły do tego co teraz istnieje, i że chcąc coś zrobić, musimy je brać za wzór i przykład.

Wprawdzie i u nas powstało parę instytucyi mających kobiety na celu, nie mówimy już o dobroczynnych, bo te nie mają nic wspólnego ze spółkami i stowarzyszeniami o których tu wspominamy, ale czy to wskutek wadliwej organizacyi, czy też obojętności ogółu, upadają lub o nich nic nie słychać. Taką jest Spółka połączonej pracy kobiet, która wiele obiecywała; Stowarzyszenie pomocy dla nauczycielek, o której tylko z trudnością mogliśmy się dowiedzieć, a kto wie może są jeszcze i inne, lecz z czynnością tak ograniczoną, że nie przechodzą one do wiadomości tych które by mogły z nich korzystać lub brać w nich udział.

Na zapytanie dlaczego tak jest, jedyną będzie odpowiedzią: „brak funduszów potrzebnych", gdyż inne trudności łatwiejby się dały usunąć. Ten brak funduszów, który i w Czechach bezwątpienia dawał się uczuwać, Czeszki zastąpiły: „małemi a wspólnemi siłami". Bierzmy je więc za przykład, przypatrzmy się bliżej ich działalności, dowiedzmy się jak one prace swoje rozpoczynały, a może i my będziemy mogły pójść w ich ślady. W tym celu postaramy się zapoznać wkrótce Czytelniczki nasze z kilku głównemi spółkami i stowarzyszeniami kobiet czeskich. Mamy nadzieję, że ułatwi nam to zadanie uprzejma i zasłużona redaktorka „Żeńskich listów", do której udaliśmy się po bliższe w tym względzie objaśnienia.

Helena K.

PRZEGLĄD TEATRALNY.

Niby Małżeństwa, komedya w 4-ch aktach Paillerona, przedstawiona po raz pierwszy na scenie Teatru Rozmaitości, dnia 7 lutego.

Niejeden już autor obierał sobie za treść swojego utworu, jako przedmiot kobietę upadłą; niejeden już za przykładem Henryka Murgera podnosił życie gryzetki: żaden jednak nie rozciął węzła, który tak boleśnie krępuje każde społeczeństwo. Sztuka Paillerona p. t. „Niby małżeństwa (Le faux ménages) wystawiona na scenie Teatru Rozmaitości, przedstawia nam w pierwszym akcie rodzinę, wychowaną na prowincyi, której główna osoba i głowa utonęła w miłostkach po za rodzinnych. Pozostała kobieta, matka rodziny, ani wdowa, ani mężatka obawiając się zgubnego wpływu stolicy, który tak zdradziecko wkrada się w najspokojniejsze zakątki rodzinne, postanawia doprowadzić czempredzej do skutku małżeństwo swej siostrzenicy z synem swoim Pawłem.

Młoda kuzynka kocha szalenie miłością zdolną do ofiar. Paweł nie jest bez uczucia... widocznie, że się kocha, że kryje coś przed matką... tak dobrodusznie wierzącą, że musi to być miłość nie inna, jak ta, o której on mysli.

Wprawdzie, ksiądz kapelan, z przezornością doświadczonego człowieka, obawia się wyznać tych planów matki młodziutkiej dziewczynie; ale nie jest w stanie oprzeć się jej naleganiom a rezultatem tych zamiarów i woli pięknej dziewicy jest ubiór ślubny, który przyodziewa tylko na to aby go natychmiast zrzucić i utonąć w wiecznej żałobie. Oto brat jej przynosi matce i siostrze niepocieszającą wiadomość, adres kobiety kochanej przez Pawła. Przezorna matka odgaduje wszystko, niewinna siostrzenica z boleścią zrywa wianek z głowy i z rezygnacyą znosi ten cios straszny!— Ale matka nie poprzestaje na rezygnacyi: bądź co bądź usiłuje wyrwać z tych rąk niegodnych, tego, co należy do niej i ratować syna.

Z dostatnich salonów przechodzi widz nagle do ubogiej izdebki; nie skromnie, ale nędznie już umeblowanej. Przy robocie hafciarskiej usilnie pracuje młoda kobieta. Jest nią Estera—ta właśnie która stała się przyczyną burzy domowej. Któż ona jest? Oto ta, którą z rąk napastników wyrwał Paweł i podźwignął, dopomagając i ucząc tego, o czem nie miała pojęcia. Matka jednak z Esterą obchodzi się jak z kobietą upadłą, która wydarła najdroższy skarb jej życia. Tymczasem Estera trochę dumnie, więcej jeszcze z boleścią, usiłuje obronić siebie i wyżebrać u matki litości... Ale ona nie chce o tem słyszyć; następuje najstraszniejsza scena łez... Estera żebrze, ale dumna kobieta odpycha ją. Naraz wchodzi Paweł i rozpoczyna się walka między kochankiem, matką i kochanką. Syn broni Esterę, broni w niej praw kobiecych, matka zaś staje na straży dotychczasowego społecznego ustroju. Niezwyciężona zgadza się na prośbę syna pod jednym warunkiem, aby Estera pozostała razem pod jednym z nią dachem. Estera opiera się jej woli, ale wolę Pawła spełnia.

I znów ów dom spokojnej rodziny. Matka, jak w pierwszym akcie, gra z księdzem w karty... a w głębi spotykamy smutną zapłakaną postać, którą wszyscy gardzą. Jest nią Estera, pokutująca grzesznica, wśród grona aniołów! Coraz nowsze odkrycia szarpią jej duszę, siostrzeniec odgaduje jej przeszłość, matka nie przyznaje jej szacunku, najgorszym jednak upiorem jest młoda dziewczyna niewtajemniczona w przeszłość Estery, która spowiada się przed nią ze swej miłości i ofiary dla Pawła. Estera pragnie przedstawić jej swą przeszłość, ale ona jej nie rozumie. Rozbrojona tą niewinną prostotą dzieweczki, Estera dowiaduje się jeszcze o jednej potężnej sile społecznego ustroju: o „poświęceniu". Rozbudzona tem szlachetność w niej potęguje się, pojmuje, że niczem nie zmyje swojej przeszłości i dlatego, kreśląc ostatnie słowa do Pawła opuszcza mieszkanie.

Tu mogłaby się skończyć sztuka, autor jednak jako sędzia postanowił iść dalej. Oto w tejże samej izdebce znajdujemy Esterę piszącą z płaczem ostatni list do ukochanego Pawła. Wtem w chwili, kiedy ma opuścić izbę, nadchodzi Paweł i zatrzymuje ją. Naraz z nim zjawiają się wszyscy: matka zezwalająca, wraz z niewinną siostrzenicą i jej bratem, ksiądz kapelan i jeszcze Ernest, ojciec Pawła. Ernest, ten, który opuścił żonę, przetrwoniwszy wpierw jej majątek, dla jakiejś kobiety, z którą związał się niby małżeństwem. Od drugiego aktu jest już on figurą nam znaną i nawet jedną z wybitniejszych postaci.. Zniechęcony tem życiem poczuwa swój błąd i chciałby się cofnąć, ale o żonie nie wie bo zmieniła swoje nazwisko. Dopiero przypadkiem wpatrując się w życie swoich sąsiadów Estery i Pawła, poznaje tam swoją żonę gdy przyszła upominać się syna! Wtajemniczony w życie młodych, Ernest przez Pawła niepoznany, szydzi z Estery i dopytuje się jej, jakie ma plany na przyszłość? Ale Estera jak również i Paweł zbywają go milczeniem. W ostatnim jednak akcie występuje już Ernest, jako ojciec. Przyznaje się przed synem i spowiada ze swej przeszłości, żebrząc litości, ale swoją drogą zakazuje się mu żenić z Esterą! Dlaczego? ten człowiek, który był świadkiem najskromniejszego ich pożycia, ten człowiek, przed którym nie wiedząc jeszcze o niczem, Estera wyznała swoje plany, wreszcie ten człowiek który sam zgrzeszył daleko ciężej, dlaczego zabrania synowi się żenić? Wszakże on porzucił żonę, a ten kocha się w dziewczynie ze skażoną przeszłością... Znał też dobrze Ernest uczciwość i stanowczość Estery, znał szlachetny charakter syna a więcej jeszcze widział różnicę pomiędzy tymi co miłostkują a między tymi „co się kochają bez granic"! Gdyby Estera tak jak baronowa, lub inne z tych dam, korzystała z majątku starych niedołęgów lub ludzi bez charakteru, wtedy ojciec mógłby śmiało zaprotestować. Ale Estera nie brała nic od Pawła. Skromne mieszkanie i utrzymanie opłacała swoim kosztem i swoją pracą. Autor przeto postanowiwszy na wstępie kwestyą „Niby małżeństwa", zwrócił zasadniczą osnowę na inny zupełnie przedmiot: czy kobieta upadła ma prawo do udziału w życiu społecznem czy też nie?

„Niby małżeństwa" pozostały na drugim planie, wywierając najniekorzystniejszy wpływ na widzu; jako zaś rozwiązanie postawił autor opinię publiczną—która odepchnęła kobietę po cierniach wstępującą na najwyższe prawie szczeble cywilizacyi. Jak początkowo cały temat był założony misternie, tak następnie utonął zupełnie w dziwnych zawikłaniach. W akcie drugim widzieliśmy dwa odrębne światy: zniedołężniałych starców w objęciach niemoralnych kobiet i młodą parę kochającą się szczerze. Czyż można razem te światy jedną mierzyć miarą?—Że „Niby małżeństwa" wyszły z pod ręki zdolnego człowieka, o tem ani na chwilę wątpić nie można. Sceniczność i dramatyczność przepełnia całą tę pracę. Prześliczna jest scena o której wspomnieliśmy, kiedy syn i kochanek walczy w obronie praw kobiety: również piękne są sceny: Estery z matką Pawła, kiedy zrozpaczona kochanka pyta się po kilkakroć „czy wierzysz?" i scena z młodziutką niewinną dziewczyną, kończąca się ucałowaniem ręki.. Talent w tych scenach przebija się wielki.

Co się tyczy gry, to wyśmienicie była oddana rola Ernesta. P. Królikowski odgadł autora, zrozumiał jego myśl i odtworzył człowieka przesyconego życiem pozarodzinnem. Pani Rakiewiczowa, jak zwykle nie odtworzyła nowego typu, najnieszczęśliwiej jednak była oddana trudna rola Pawła. Pannie Marcello musimy zaznaczyć, że między prawdą a przesadą bardzo mała prawie niedostrzegalna jest granica. Szczęśliwiej, bo wcale dobrze odegrali swe role p. Tatarkiewicz i panna Wiśniowska.

Wiktor Czajewski.

PRZEGLĄD LITERACKI.

Królewski Dziadek, opowieść z czasów króla chłopków Kazimierza Wielkiego, napisana dla rolników i rzemieślników przez *Aleksandrę Marczewską*.

Niegdyś mówiąc o powiastce przez tęż samą napisaną Autorkę p. t. *Dwa worki złota*, zrobiłem zarzut, że osoby wprowadzone do niej tak są nie nasze, że cała ta praca zdaje się jakby była prostem tłomaczeniem a przynajmniej naśladowaniem jakiegoś dziełka na obczyznie wydanego. Szanowna Autorka zaprzeczyła temu; że więc była samodzielną wierzę temu najzupełniej, chociaż wartość jej nic na tem nie zyskała.

Zarzut ten jednak p. Marczewska wzięła do serca, na czem literatura nasza ludowa bardzo dobrze wyszła, bo zyskała nową powiastkę p. t. *Królewski dziadek*, którą odczytałem z prawdziwą przyjemnością, jako dowód pięknego rozwoju talentu Szanownej Autorki.

Jest ona niewielka, kosztująca tylko kop. 40, ale napisana z takiem życiem, prawdą i dramatycznością, tak w niej wszystko przemawia naszą duszą i sercem, że gdyby nie nazwisko wymienione w tytule, nie przypuściłbym nigdy, sądząc z prac dawniejszych p. Marczewskiej, że wyszła z pod jej pióra.

Osnowa jej bardzo prosta. Król Kazimierz przywdziawszy na siebie strój dziadka królewskiego, zachodzi do wsi Skawiniaków niegdyś przez siebie założonej i uposażonej, i tam spotykają go różne przygody dowodzące wielkiej pychy jej mieszkańców. Cichy i skromny garncarz Trzaska odsyła go jednokonnym wózkiem wraz z chłopczyną swoim Frankiem do Krakowa: tam wydaje się wszystko, że dziadek królewski to sam król Kazimierz, a scena w której chłopczyna opowiada o tem jest tak prawdziwą i malowniczą, tak wybornie skreśloną, że już sama ona jedna nadałaby wielką wartość całej opowieści. Jest jej jednak tylko małą cząstką, jedną sceną więcej komiczną, a tak prawdziwą, tak ożywioną, że się zdaje iż się na nią patrzy i słucha osób w niej rozmawiających. To samo życie, prawda i dramatyczność rozlane są w całem opowiadaniu. Ani jednego nie ma w niem ustępu nudnego, wszystko pociąga i zajmuje, i to właśnie nadaje mu taką barwę różną od dawniejszych prac p. Marczewskiej.

Niechże więc Szanowna Autorka drogi na którą weszła nie porzuca, niech się trzyma jej stale a stanie z pewnością w rzędzie pierwszorzędnych pisarzy dla ludu, do czego już prawo Dziadkiem Królewskim najzupełniej uzyskała.

Radziłbym tylko aby w przyszłych podobnych opowiadaniach, zachętę do dobrego więcej przedstawiała w pobudkach moralnych jak w nadziei zysków pieniężnych. W powiastce o Dziadku Królewskim, król Kazimierz za wiele złota i darów rozsypuje tym co na tę łaskę zasłużyli. Podobne wypadki nader się rzadko trafiają, są taką nawet nadzwyczajnością że aż je historya pomieszcza na swoich kartkach. Dobre powinno w samem sobie znaleźć nagrodę, w podniesieniu osobistej godności, w zadowoleniu moralnem, w uspokojeniu sumienia, i wreszcie w tej wewnętrznej radości jakiej każdy doznaje gdy błąd pozna i unika jego ponowienia w dalszym ciągu swego żywota. Do tego dojść każdy może i dążyć powinien, książka zatem winna mu do tego dopomagać i uczyć tego czego pieniądz dać nie może. Usunięcie także z tytułu, że książeczka przeznaczona jest dla rzemieślników i rolników, uważam za konieczne. Rzecz dobrze napisana spodoba się wszystkim, pocóż więc zacieśniać samowolnie kółko przyszłych czytelników a poniżać wartość pracy nadawaniem jej jakiejś wyłączności, do której przywiązane jest pewne lekceważenie tych dla których właściwie jest przeznaczoną?

Oto są jedyne dwa bardzo malutkie zarzuty zrobione nowej tej pracy p. Marczewskiej: innych nie znalazłem czem się cieszę niewymownie.

J. K. Gregorowicz.

NOWE WYDAWNICTWA.

Słownik Geograficzny Królestwa Polskiego i innych krajów słowiańskich. Zeszyt 27 stanowi trzeci tomu III-go i zawiera od rzeki Hniezna aż do wsi Horyszów Ruski w Hrubieszowskiem. Każdy zeszyt kosztuje kop. 50.

Htstorya literatury powszechnej D-ra Jana Scherra, według szóstego wydania oryginału niemieckiego przełożona, w osobnych przypiskach uzupełniona i w dziale literatur słowiańskich znacznie pomnożona przez Bronisława Zawadzkiego. Wyszedł zeszyt pierwszy tomu II-go nakładem Gebethnera i Wolffa. Prenumerata na całe dzieło wynosi na miejscu rs. 5, z przesyłką pocztową rs. 6. Ostatnie dwa zeszyty wyjdą w ciągu kilku miesięcy.

Karnawał wileński—zbiór tańców salonowych na fortepian, przez Floryana Hermanna, z których kontredanse i mazur są ułożone z pieśni Moniuszki, a polka, walc i galop oryginalnie napisane. Wydanie staranne, z pięknym widokiem Wilna, kompozycya cała gustowna a kontradanse prześliczne, że można je uważać za jedyne które jako muzyki dają się słuchać. Cena całego kompletu rs. 2, — pojedynczo sprzedają się po kop.: 60, 40 i 30.

Z KRAJU I Z ZAGRANICY.

*** Tegoroczna zima niezmiernie dziwaczy. Gdy zwykle nas mroziła, zaledwie małemi przymrozkami darząc południowe strony Europy, obecnie nam zsyła prawie wiosenne już ciepła, a Włochów dręczy dziesięcio stopniowemi mrozami i zasypuje śnieżystą zawieją. Jak na tem wyjdą owoce ziemi, wkrótce się dowiemy, ale jest dość usprawiedliwiona obawa że im to na pożytek nie wyjdzie. W tych dniach nadesłano nam z pod Ostrołęki Bratka rozkwitłego w ogrodzie w dniu 10 lutego, zupełnie prawidłowo. Jest to rzeczywiście zjawisko bardzo osobliwe, roślinka bowiem już w styczniu musiała obudzić się do życia i pracować stale, aby tak wcześnie kwiat wydała.

*** Na jednym z ostatnich wieczorów u *Deotymy* sędziwy wieszcz A. E. Odyniec czytał początek historycznego dramatu p. t. *Kazimirz i Aldona.* Dramat ten rozpoczął pisać poeta jeszcze w 1861 r. i doprowadził wtedy do końca drugiego aktu — jest nadzieja że może obecnie ukończony zostanie. Przenosi on nas w bardzo odległe wieki, do roku 1325, kiedy król Władysław Łokietek, powodowany względami politycznemi, ożenił zaledwie 16-let. syna swego, późniejszego Kazimierza Wielkiego, z Aldoną, córką księcia Gedymina. W dramacie swoim autor nie mógł trzymać się ściśle podań historycznych, musiał zbliżyć wypadki rozdzielone przestrzenią i czasem.

*** Jak wiadomo rzeczywistym karnawałem rzymskim są ostatnie dziesięć dni zapust. W tym roku przybyła tam nader znaczna liczba cudzoziemców; zapowiedziano już najrozmaitsze maskarady, kosztowne i malownicze zarazem. Zwykle główną ich widownią bywało Corso; lecz ponieważ obecnie nie mogłoby pomieścić powiększonej znacznie ludności i kroci przybyłych, zatem zabawy karnawałowe rozciągać się będą aż do *Via Nazionale*, wielkiej nowo utworzonej ulicy, między placem Weneckim a dworcem kolei. Po obu jej stronach stoją wspaniałe pałace i okazałe domy; wielka ta i szeroka ulica nadaje się wybornie do hałaśliwych zabaw, w których przyjmuje udział kilkakroć sto tysięcy osób.

Po wszystkich niemal teatrach odbywają się bale maskowe; tańczą w ambasadach i w arystokratycznych salonach, w tych nawet które dotąd nie wydawały żadnych zabaw. Bywają więc bale legitymistowskie i liberalne, a bywają na nich całkiem różne towarzystwa, nader rzadko spotykające się z sobą. Bale te nazywają się „czarne" i „białe". Ambasadorowie uwierzytelnieni przy Stolicy Apostolskiej i książęta rzymscy z tegoż stronnictwa, zapraszają tylko legitymistów (czarnych), zaś ambasadorowie i pełnomocni ministrowie uwierzytelnieni przy królu i arystokracya biała, przyjmują w salonach swoich świat urzędowy i liberalny. Do najświetniejszych balów należy dany u dworu d. 4 b. m., na który rozesłano 1,300 zaproszeń. Otworzono piętnaście sal w pałacu Kwirynalskim; olśniewały przepychem i wspaniałem oświetleniem. W sali Szwajcarów jaśniało światło elektryczne. Król miał na sobie czarny frak i order Anuncyaty, piękna królowa Małgorzata cała pokryta była brylantami, co przy przepysznem oświetleniu czarujący sprawiało widok. Nie ma chyba orderu krajowego czy zagranicznego, któryby nie miał tu swego przedstawiciela. Wśród licznych cudzoziemek ani jednej Polki tym razem nie było na balu.

Wieczerza odznaczała się prawdziwie królewskim wykwintem i przepychem. Szampan i najrzadsze wina nieustannie podawane były w kryształowych konwiach; to dało powód że wielu poważnych niby ludzi a między nimi pewien ambasador, raczyli się nim obficiej niż zezwala na to etykieta dworska. Do wieczerzy posługiwało stu upudrowanych lokai, jedni w szafirowej drudzy w karmazynowej liberyi, oraz liczny poczet kamerdynerów dworskich.

Król i królowa opuścili sale o 2-ej po północy, ale kotylion przeciągnął się do godziny 4-ej rano. Rozdawane w nim upominki były piękne i kosztowne, ale też rzucano się i wydzierano je sobie tak demokratycznie, iż minister dworu królewskiego i wielki ochmistrz zniewoleni byli wydać rozporządzenie, aby na następnym balu żadnych nie rozdawano podarków.

*** Dnia 7 b. m. miała miejsce nader smutna katastrofa na lodzie między Kronsztadem a Oranienbaum. Mnóstwo sanek jechało z Petersburga do Oranienbaum, aż nagle powstała ogromna zamieć śnieżna, skutkiem której światło elektryczne, jaśniejące w tak zwanym „kącie wojennym" przestało być widzialnem. Zazwyczaj służy ono za

drogowskaz podczas słoty i ciemności. Gwałtowna burza przewracała sanki, odrzucając je daleko; niektóre z nich zaginęły bez śladu, wraz z siedzącemi w nich osobami. W jednych sankach jechał doktor Bogdanow i porucznik Gleb-Michalenko z siedmioletnim synkiem. Woźnica ich zaginął; na drugi dzień znaleziono daleko na lodzie doktora B. z odmrożonemi uszami i nogami, ale żyjącego jeszcze, porucznik z synem zmarzli. Dotąd nie można było jeszcze określić liczby nieszczęsnych ofiar rozszalałej burzy.

⁂ Jak wielkie bywają wrodzone zdolności i czego nawet bez nauki dokazać mogą, dowodem okazywany obecnie w Paryżu zegar, wyrobiony przez młodziutkiego wieśniaka z Alzacyi. Zaledwie mając lat dziesięć, podczas wojny francuzko-pruskiej, gdy powszechnie mniemano, że sławna katedra strasburgska ulegnie zniszczeniu, chłopczyna powziął myśl odtworzenia modelu tamtejszego zegara. Nie miał dotąd najmniejszego pojęcia o sztuce zegarmistrzowskiej, nie widział także nigdy wewnętrznego ustroju głośnego arcydzieła, a przecież po trzech latach wykonał najdokładniejszy model tegoż zegara. Obecnie przybył do Paryża, gdzie utwór samouczka powszechne budzi zajęcie.

⁂ P. Graham Bell, rzeczywisty wynalazca telefonu, zawiadomił Akademię Paryzką o nowem jego zastosowaniu. Wiadomo jak wiele bólu przyczynia rannemu sondowanie sondą metalową dla poszukiwania w ciele kul lub kawałków metalowych, które dostały się tam z broni palnej; nieraz użycie sond takich takiem grozi niebezpieczeństwem, iż zaniechać trzeba poszukiwań. Przyrząd obmyślony przez p. Graham'a Bell, dozwala uniknąć tych niebezpieczeństw; wskazuje przecież nader dokładnie położenie kuli i głębokość rany za pomocą prądów elektrycznych.

Dla dokładniejszego objaśnienia działania tego przyrządu, musimy podać pewne szczegóły odnoszące się do tak zwanych prądów *indukowanych.*

Wyobraźmy szpulkę nawiniętą podwójnie metalowemi drutami; po jednym z nich przebiega prąd *stały* wychodzący ze stosu elektrycznego; drugi drut jest połączony z *galwanometrem* i służy do wykazania kierunku i siły tak zwanego prądu *indukowanego.* Przypuśćmy tedy że gdy prąd przebiega po pierwszym drucie, igiełka galwanometru wskazuje zero; skoro tylko przerwiemy prąd stały lub zawiążemy go na nowo, w chwili tego przerwania lub poczyniania prądu, igiełka zsunie się z zera i pójdzie w prawo lub w lewo, co wynika ztąd że wtedy właśnie powstał prąd w drugim drucie. Prąd pierwszy, pochodzący od stosu, nazwany jest *indukcyjnym*, drugi, wywołany przezeń, prądem *indukowanym*. Takie prądy indukowane powstają w rozmaitych okolicznościach, np. kiedy prąd indukcyjny zmienia swe natężenie, skoro się zbliża lub oddala od drutu, w którym wywołuje prąd indukowany, etc., etc. Praktycznemi zastosowaniami tych zjawisk jest telefon Bella i waga indukcyjna Hugues'a, służąca do wykrycia natury mieszanin metalowych. Oto jak zastosował je p. Graham-Bell, dla wykrycia kul lub ich odłamów w ciele ludzkiem.

Prąd pochodzący od stosu przebiega stale płaską szpulkę, umieszczoną równolegle od drugiej mającej też samą formę i średnicę, i tworzącą część elektrycznego obwodu zwykłego telefonu. Telefon wydaje dźwięk, jak tylko prąd przebiega po obwodzie, lecz kiedy prąd na pierwszej szpulce jest stale jednego i tego samego natężenia, na drugiej nie powstaje prąd indukowany i telefon milczy. Jeźli dwa te płaskie koła umieścimy równolegle na ciele ludzkiem, daje się słyszeć słaby dźwięk, wskutek mającej w tym razie miejsce zmiany natężenia prądu. Jeźli następnie oba koła przesuwamy po ciele, ku miejscu gdzie chirurg podejrzywa obecność kuli, dźwięk staje się coraz silniejszy, dosięga zaś maksimum w miejscu gdzie kula się znajduje, choćby była najwięcej zagłębioną. Wskutek zbliżenia dwóch szpólek do ciała metalowego, powstają na niem prądy indukowane, a wpływając na zmianę natężenia w prądzie stałym, stają się przez to źródłem prądu indukowanego w obwodzie telefonu, który wskutek tego wydaje dźwięk. Za pomocą dodatkowych przyrządów można dźwięk ten wzmocnić o tyle, żeby go jednocześnie mogło słyszeć kilka będących w pokoju osób.

Teraz jeszcze zobaczmy w jaki sposób, za pomocą tego przyrządu można oznaczyć położenie kuli w ciele rannego. Dla ułatwienia zadania, przypuśćmy że forma i materyał ładunku są znane, i chodzi jedynie o zbadanie jego pozycyi. Jak tylko przyłożyć szpulkę do ciała, daje się w telefonie słyszeć dźwięk, w skutek zmiany natężenia prądu indukcyjnego. Odśrubujmy przyrząd tak żeby nastało milczenie, poczem odejmijmy go od skóry rannego, a wtedy, znajdując się w odmiennych niż przed chwilą warunkach, wyda dźwięk znowu. Umieśćmy teraz naprzeciw obserwatora ładunek takiego samego gatunku jak znajdujący się w ranie, i zbliżajmy go tak długo ku szpulkom przyrządu, aż już telefon przestanie dźwięk wydawać, otóż wtedy właśnie przyrząd znajduje się na takiej odległości jak kula w ciele rannego. Aby znaleźć tę odległość, dość zmierzyć przestrzeń dzielącą obserwatora od kuli służącej do próby.

Doprawdy, widząc pojawiające się coraz cudowniejsze odkrycia i wynalazki, zazdrościć trzeba tym co choćby w pół wieku po nas żyć będą.

Zawiadomienia.

W interesie własnym Szanownych Prenumeratorów *Tygodnika Mód* upraszamy ich, aby przy odnawianiu dalszej prenumeraty, albo żądaniu zmiany adresu, lub wysłania zatraconych numerów, oraz przy objawianiu wszelkich reklamacyi, nadsyłać raczyli kartkę adresową niniejszego pisma na opasce naklejoną, lub wypisywać oznaczone na niej numery; a to celem łatwiejszego odszukania w miejscowej kontroli nazwiska prenumeratora, tem samem więc spieszniejszego wykonania objawionego żądania.

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ Варшава 9 Февраля 1882 г. Redaktor **J. K. Gregorowicz.** Wydawca **E. Skiwski.** Druk **E. Skiwskiego** Chmielna N. 1530 (20).

Dodatek.

TO BYŁO OBŁĄKANIE.

PRZEZ

HENRYKA CAUVAIN.

(Dalszy ciąg.)

XXVII.

Wilczyca mieszkała w owej epoce, w małej chatce znajdującej się wśród parku, która niegdyś służyła za miejsce zbierania się myśliwych. Pomimo że hrabia, który pamiętał jak ważne usługi oddawała mu w Wandei, namawiał ją nie raz aby mieszkała w pałacu, nie chciała nigdy zgodzić się na to, przekładając swobodę tego na pół dzikiego życia.

Hrabia de Tremeillan wstępował często do niej wracając z polowania. Była to jedna z bardzo małej liczby istot, dla których czuł trochę życzliwości. Może wzruszało go jej ślepe i prawie fanatyczne przywiązanie, przypominające mu bałwochwalczą cześć dawnych służących dla swych panów, i uważał ją jako ogniwo łączące go z tą przeszłością, której tak żałował.

Pewnego dnia po południu, wszedł do niej i zażądał aby mu dała szklankę jabłeczniku. Było to w kwietniu. Widząc że Wilczyca zamiast spełnić śpiesznie jego żądanie, stała przed nim i utkwiła w niego oczy, zawołał niecierpliwie:

— Czy nie słyszałaś? daj mi pić.

Zaczęła chodzić po izbie, jakby szukała szklanki, potem poszła do szafy, a nakoniec zbliżyła się do hrabiego jak gdyby powziąwszy nagle jakieś postanowienie, i rzekła prędko:

— Panie mój, przestań chodzić na polowanie.

— A to dla czego? zapytał pan de Trémeillan marszcząc brwi.

— Nie wychodź na dłuższy czas z pałacu... bo gdy ciebie nie będzie, nieprzyjaciel może się tam wśliznąć łatwo.

— Nie rozumiem cię; mów jaśniej, rzekł hrabia niecierpliwie. O jakim mówisz nieprzyjacielu?

— Mówię o człowieku który kradnie twoją własność.

— Moją własność?

— Mówię o młodym de Mortrée.

— A! czy uwzięłaś się na to żeby doprowadzić mnie do gniewu? zawołał hrabia który pobladł usłyszawszy to nienawistne sobie nazwisko. Masz zawsze manię wyrażać się tajemniczo... Dobre to dla chłopów gdy im wróżysz, ale do mnie mów wyraźnie.

— Biedni ludzie są często surowo za to karani, gdy się poważą mówić prawdę swym panom... a jednak ja muszę powiedzieć wszystko.

Zbliżyła się do hrabiego i dodała cicho:

— Hrabina i młody de Mortrée widują się prawie co dzień, to u Maryanny, żony Torquenié'go, to w parku; piszą także do siebie, a Maryanna nosi listy do Marnes, ukryte pod fartuchem.

Hrabia uchwycił krzesło i cisnął je tak gwałtownie na ziemię, że rozleciało się w kawałki. Jednocześnie z piersi jego wydobył się krzyk podobny do ryku dzikiego zwierzęcia, i chciał wybiedz z chaty, ale Wilczyca zastąpiła mu drogę zatrzymując go na progu.

— Zaczekaj chwilkę, panie mój... wszak chcesz go zabić?

— Chcę zabić ich oboje! ryknął hrabia, wpijając palce jak żelazne kleszcze w ramiona Wilczycy, którą chciał usunąć.

— Masz prawo uczynić to, panie, ale strzeż się postawić w takiem położeniu w któremby cała wina spadła na ciebie. Trzeba ich zejść razem... resztę, dodała wolno, ja biorę na siebie... Wszak wiadomo ci, panie, że umiem strzelać... a nie chcę abyś brudził sobie tem ręce... Możesz spuścić się na mnie... Już ja wiem jak mam postąpić, aby sprawiedliwość nie mogła przyczepić się do ciebie. Będziesz ze mnie zadowolonym, drogi mój panie... Tylko, błagam cię, udawaj że nic nie wiesz, dopóki nie nadejdzie stosowna chwila... Chcąc schwytać ptaka, trzeba zastawiać sidła tak aby ich się nie domyślał. Miałam czas zastanowić się dobrze nad tem, od owego wieczora w którym spostrzegłam ich siedzących na ławeczce w parku i rozmawiających z sobą. Panie mój, zechciej posłuchać rady twej wiernej Żuanety; nie wracaj do pałacu dopóki nie uspokoisz się trochę, bo inaczej ściągniesz na siebie nieszczęście. Pozostań tu, a daj znać hrabinie że zabawisz parę dni u margrabiego de Rieuset, lub u panów d'Argis... uwierzy temu i zechce korzystać ze sposobności. Nie będzie ci tu wygodnie, dobry mój panie, musisz spać na tem nędznem łóżku, ale nie mogę dać więcej nad to co posiadam. Co do mnie, będę pilnować w parku, a wiem już którą drogą przychodzi, będę na niego czatować w dzień i w nocy, a gdy nadejdzie stosowna chwila, uprzedzę o tem mojego pana.

Hrabia de Trémeillan opierał się długo i gwałtownie radom Wilczycy; gwałtowność jego charakteru popychała go do prędkiej i krwawej zemsty. Udało się jej jednak skłonić go w końcu aby zaczekał choć kilka godzin, i gdy wieczorem siedział ponury i milczący rozmyślając nad swą zemstą, odkryła mu obmyślony przez siebie plan prawdziwie szatański, dozwalający zabić bezkarnie wice-hrabiego de Mortrée.

Uwiadomiła go iż krążą pogłoski że wice-hrabia Marcelin jest kochankiem Maryanny Torquenié, a więc można będzie skorzystać z tego zwracając w razie potrzeby, podejrzenia na jej męża.

Pan de Trémeillan słuchał jej w milczeniu, chodząc niespokojnym krokiem po małej izdebce. Nie obruszył się na Wilczycę, gdy mu przedstawiała swój plan nikczemny; nie oburzył się na myśl zniesławienia uczciwej kobiety, i ściągnięcia strasznej i hańbiącej kary na człowieka niewinnego.

Trzeba było uchronić się od wstydu; trzeba było zemścić się i zapewnić sobie bezkarność, a dla osiągnięcia tego celu wszelkie środki zdawały mu się godziwe.

— Jesteś wierną i uczciwą kobietą, rzekł do Wilczycy, gdy przestała mówić. Masz słuszność, pozostanę u ciebie; zapalisz na kominku i przepędzę noc na tym fotelu, rozmyślając co mi czynić wypada.

Wilczyca poszła po leżące w kącie spore zawiniątko, rozwiązała je i z pomiędzy rozmaitych rupieci wyciągnęła krótki karabinek.

— To *jego* karabinek, rzekła zniżonym głosem; wykradłam mu go, i odniosę na miejsce gdy już będzie po wszystkiem.

Ostatnie te słowa wymówiła z dzikim uśmiechem.

Hrabia de Trémeillan ukrywał się dwa dni u Wilczycy, a nikt w pałacu nie domyślił się tego. Wspólniczka jego tymczasem spędzała dnie i noce za domem, tropiąc, szpiegując wszystko co się działo w Marnes i w Albrays. Wróciła do swego dzikiego życia, biegała to w tę to w ową stronę, jak prawdziwa Wilczyca szukająca żeru. Czasem tylko wracała do chaty, szepnęła parę słów do hrabiego, włożyła do torby kawałek chleba i flaszkę wódki, a potem znów odchodziła, przesuwając się ostrożnie między krzakami.

Drugiego dnia w nocy, gwałtowne pukanie do drzwi zbudziło pana de Trémeillan, który zdrzemnął się na fotelu. Gdy otworzył drzwi, Wilczyca wpadła do izby z takim pośpiechem że o mało go nie przewróciła.

— Prędko, prędko! zawołała zdyszana.

— Co się stało? zapytał blednąc hrabia.

Wilczyca nie odpowiadając mu, pobiegła do zawiniątka, wyciągnęła karabinek, nabiła go śpiesznie i zarzuciła na ramię; po czem wybiegła z chaty skinąwszy na hrabiego aby poszedł za nią.

Biegła tak szybko, że hrabia zaledwie mógł zdążyć za nią, a pomimo że noc była ciemna, przesuwała się między drzewami z zadziwiającą pewnością.

Tak doszli do pałacu. Wtenczas Wilczyca sprowadziła pana do fossy, w której w tym czasie nie było wody. Przyczaili się w niej oboje, jak myśliwi czatujący na zwierzynę; dokoła panowało głuche milczenie, przerywane tylko syczącym oddechem Wilczycy, zmęczonej długim i prędkim biegiem.

— Wracam od *Croix des Alaunes* (tak nazywano rozdroże w pobliżu pałacu Marnes), rzekła odpoczęwszy chwilkę; widziałam wice-hrabiego Marcelina idącego pieszo i okrytego szerokim płaszczem; zwrócił się w tę stronę... Nie powiedziałam jeszcze panu, że zeszłej nocy widziałam jak wychodził z pałacu temi drzwiami...

Mówiąc to wskazała nizkie drzwi umieszczone w rogu pałacu.

— I nie zabiłaś go! zawołał gwałtownie hrabia... Jakto! on u mnie!... wszedł do mego domu! O! nędznicy! Żuaneto, daj mi strzelbę, dodał z wyrazem dzikiej wściekłości.

— Wszakże mówiłam już, drogi mój panie, że nie potrzebujesz walać sobie rąk... mnie to zostaw.

Nastąpiło długie milczenie. Z piersi hrabiego de Trémeillan wydobywało się tylko niekiedy głębokie westchnienie, podobne do przytłumionego ryku. Każda minuta wydawała mu się wiekiem, i z pewnością, gdyby pan de Mortrée ukazał mu się w tej chwili, Wilczyca nie zdołałaby zapobiedz temu, aby się nie rzucił na niego, i nie zadusił własnemi rękami.

W każdym razie, ten czyn dzikiej zemsty byłby stokroć szlachetniejszym i prędzej dałby się usprawiedliwić, niż ta niecna zasadzka wymyślona przez Wilczycę, na którą hrabia zezwolił nikczemnie.

Upłynęła tak godzina. Wilczyca, miotana niepokojem, mruczała coś niezrozumiale.

— Omyliłaś się, jak widać, odezwał się nakoniec niecierpliwie hrabia, to nie musiał być on.

— Nie, to on był z pewnością, poznałam go po chodzie, ma jedną nogę trochę krótszą.

— To może poszedł w inną stronę.

— I to nie, szedł ulicą wysadzaną kasztanami, przyśpieszonym krokiem, a ja ścigałam go ciągle, dopóki nie byłam zmuszoną zboczyć, aby pana uwiadomić o tem; ale pewna jestem że tu przyjść zamierzał...

— Może mieli się zejść w parku.

— Nie, noc dziś chłodna... Zresztą udało im się wczoraj widzieć z sobą w pałacu, więc wierząc w nieobecność pana, postanowili i dziś z niej korzystać.

— Cicho! złośliwa gadzino, zawołał z tłumioną wściekłością hrabia, czy nie widzisz jakie mi zadajesz katusze?...

— Nie należy lękać się prawdy, panie, rzekła stanowczo Wilczyca; trzeba widzieć rzeczy jak są rzeczywiście...

Zamilkła, a po chwili odezwała się znowu:

— Według mego zdania i dziś wszedł do pałacu... Ale którędy? Głównemi drzwiami nie śmiałby... Wczorajszej nocy widziałam że wychodził temi... A! panie, ukarz mnie, ukarz surowo; jestem niedołężna, nie pilnowałam dość czujnie!

Uchwyciła się rozpaczliwie za głowę, a potem podniosła się nagle.

— Gdzie idziesz? zapytał hrabia, który pomimowolnie ulegał wpływowi tej dziwnej kobiety.

Ale Wilczyca zmieniła widocznie zamiar bo uklękła znów, trzymając w ręku strzelbę.

— Nie, rzekła, nie zdałoby się to na nic... on jest z pewnością w pałacu.

Rozmyślała czas jakiś, a potem odezwała się cicho:

— Panie, czy pan ma przy sobie klucz od głównych drzwi?

— Mam.

— Wybornie! Niech więc pan idzie prosto do pokojów hrabiny. Jeźli on tam jest, będzie usiłował ratować się ucieczką, a ja będę tu czatować na zwierzynę którą pan wypłoszy.

Hrabia zerwał się z żywością; ta rada zgadzała się tak dobrze z jego gwałtownym charakterem, że natychmiast zapragnął zastosować się do niej.

— Masz słuszność, zawołał, wychodząc z ukrycia.

— Tylko, zaklinam cię, panie, nie dotknij nawet żadnego z nich, rzekła Wilczyca zatrzymując go jeszcze. Jeżeli byłam tak bezrozumną że dozwoliłam mu wejść, to przysięgam że nie wróci już do domu.

— A jeźli go chybisz?

Wilczyca przysunęła się do niego i rzekła ponurym, złowrogim tonem:

— Przysięgam że ten człowiek nie dożyje do jutra.

Hrabia oddalił się pewnym krokiem i wszedł na schody prowadzące do głównych drzwi pałacu.

XXVIII.

Upłynęło dziesięć minut. Wilczyca pilnowała uważnie i gorliwie. Była pewną że pan de Mortrée wyjdzie bocznemi drzwiami, i stosownie do tego ułożyła dalsze swe plany. Miała ścigać go nieznacznie, i zastrzelić wtenczas dopiero gdy wyjdzie z parku.

Tego się tylko obawiała aby hrabia, spotkawszy winnych razem, nie zabił obojga w przystępie szalonego uniesienia. Dręczona niepokojem, wytężała słuch, ale napróżno, nie mogła dosłyszeć co się dzieje w pałacu, a koło niej było pusto i głucho.

Już zaczynało świtać, musiało być około czwartej rano, gdy usłyszała odgłos podobny do brzęku szkła wypadającego ze stłuczonej szyby, ale było to na drugim końcu pałacu i szkło zdawało się spadać z wyższych jego pięter.

Pobiegła do fossy okalającej pałac i znalazła się wkrótce przy drugiem jego skrzydle. Zwróciła oczy na wyższe piętra, i choć było jeszcze ciemno, dostrzegła jakąś szarą postać, zsuwającą się na dół, tuż koło wieży.

— To musi być on, pomyślała.

Jednocześnie w sercu jej zbudziła się dzika radość; ścisnęła w ręku strzelbę.

Ciemna postać zsuwała się o ile można najprędzej, po żelaznym pręcie od gromochronu.

Widocznie pan de Mortrée uciekając przed hrabią, dostał się na wyższe piętra pałacu; wybił szybę w dymniku, dostał się na dach, i zmuszony był chwycić się tego niebezpiecznego sposobu spuszczenia się na dół.

Wilczyca śledziła uważnie wszystkie jego ruchy. Pragnęła aby spuścił się szczęśliwie; lękała się aby mu sił nie zabrakło, aby osłabłe ręce nie puściły pręta. Gdyby upadł, gdyby się zranił lub zabił, nie możnaby już ukryć tak strasznego skandalu, i hrabia byłby zhańbionym.

Odetchnęła nakoniec swobodniej; pan de Mortrée stanął na ziemi. Obejrzał się niespokojnie koło siebie, i zaczął uciekać pochylony ku ziemi.

Wilczyca pobiegła natychmiast za nim. Rozwidniło się już o tyle że mogła ścigać napewno swą ofiarę.

Wice-hrabia de Mortrée był lekki i zwinny, uciekał szybko. Dostawszy się do parku, stanął nagle i odwrócił się, chcąc zobaczyć czy go ktoś nie widzi. Wtenczas spostrzegł cień jakiś i Wilczyca nie zdołała dość prędko ukryć się za pniem drzewa.

Wahał się chwilę; ale najpierw nie miał przy sobie broni, a powtóre nie mógłby rozpoczynać walki z osobą, która zdawała się ścigać za nim, gdyż tym sposobem dałby się poznać i zgubiłby nieodwołalnie hrabinę.

Pan de Trémeillan nie widział go wcale; uciekł już skoro hrabia wszedł do przedsionka pałacu. Maryanna Torquenié stojąca na straży, zdołała ostrzedz ich w porę; mógł więc pocieszać się nadzieją, że hrabia nic jeszcze nie wiedział, i że ścigał go ktoś ze służących, biorąc go za złodzieja.

Zaczął uciekać znowu, odwracając się od czasu do czasu i zawsze widział za sobą, w jednakowej mniej więcej odległości, tęż samą czarną postać. Rzucił się w gęstwinę; ciernie i gałęzie które łamał i potrącał w swym szalonym biegu, krwawiły mu twarz i ręce. Sądził przez chwilę że ścigający stracił jego ślady; biegł przez dość obszerną łączkę, a nie widział i nie słyszał nikogo. Wtenczas zatrzymał się jak jeleń któremu udało się odwrócić od siebie psy, odetchnął głęboko, i podniósł głowę chcąc poznać gdzie się znajduje. Niedługo jednak cieszył się tą nadzieją, bo po chwili usłyszał za sobą trzask łamiących się gałęzi, a z każdą chwilą słychać go było wyraźniej. Wkrótce mógł już dojrzeć jak wierzchołki młodych drzewek, potrącanych w szybkim biegu, poruszały się i drżały.

Nie mógł już powątpiewać dłużej; ścigający trafił znów na jego ślady. Zapuścił się w las, i biegł prosto przed siebie, nie myśląc nawet gdzie biegnie. Ponieważ był młody i obdarzony niezwykłą siłą, miał nadzieję że zdoła tak znużyć swego nieznanego nieprzyjaciela, iż nie będzie w stanie ścigać go dalej.

Przypuszczał że ten nieprzyjaciel nie miał przy sobie broni, bo inaczej dla czegoż nie użyłby jej dotąd? Tymczasem Wilczyca nie chciała go zabić na gruncie pana de Trémeillan, i dla tego ociągała się ze swą zemstą.

Tak więc wice hrabia Marcelin sądził że idzie tu jedynie o zwinność i szybkość biegu, a wiedział że pod tym względem nikt go przewyższyć nie potrafi; dla tego też zamiast zapuszczać się dalej w las, gdzie na każdym kroku spotykał jakieś przeszkody, zwrócił się na pierwszą steczkę, jaką znalazł przypadkiem, i biegł jak mógł najprędzej. Steczka ta doprowadziła go do długiej i prostej drogi, wysłanej murawą i pokrytej zielonem sklepieniem, jakie przecinają zwykle w tych okolicach wysokopienne lasy. Biegł nią dalej aż do miejsca w którem droga rozchodziła się na cztery strony, i puścił się tą, która, jak mu się zdawało, miała go doprowadzić do pałacu des Marnes.

Nakoniec po trzech kwandransach tego wysilającego biegu, wyszedł z lasu, i znalazł się w wąwozie otoczonym płotami, za któremi rozciągały się pola, poprzerzynane, według zwyczaju panującego w Bretanii, rowami o wysokich brzegach.

Gdy wybiegał z lasu, zdawało mu się że ścigająca go osoba zwalniała już kroku, jakby ją siły opuszczały. Jeszcze trochę wytrwałości, a będzie ocalonym!

Podniecony tą myślą, puścił się dalej, pomimo strasznego wysilenia, pomimo że mu już tchu brakowało. O jakie sto kroków dalej musiał się zatrzymać; zagradzały mu drogę świeżo pościnane drzewa, co zniewalało go przejść przez rów i uciekać dalej przez pole.

Teraz już nie znajdował się na gruncie pana de Trémeillan, a wiemy że Wilczyca na to właśnie czekała.

Wiedziała, prawdopodobnie, że droga była zawalona drzewami, bo zamiast biedz nią za panem de Mortrée, zwróciła się na ścieżkę prowadzącą do młodego i gęstego lasku.

Siły jej wyczerpały się także; sądziła że jej głowa pęknie, dyszała ciężko, oczy wychodziły na wierzch. Ale nie chciała opuścić swej ofiary, i gdyby pan de Mortrée był dziesięć razy jeszcze zwinniejszym i silniejszym, ścigałaby go zacięcie, dopókiby jej nie zabiło wysilenie.

Gdy już była na brzegu lasku, położyła się na ziemi, i wsparta na rękach wychyliła głowę aby mogła dostrzedz nadbiegającego pana de Mortrée.

Oddech jej stał się tak ciężki, tak przerywany, że każde odetchnienie było połączone z bolesnym jękiem, zdawało się że jej piersi pękną.

Naprzeciwko niej znajdowało się pole świeżo uprawione, otoczone dokoła płotem. Znała dobrze miejscowość; wiedziała że wice-hrabia Marcelin znalazłszy drogę zagrodzoną, musi uciekać przez to pole.

Czekała zaledwie parę minut, gdy nad płotem uplecionym z chrustu ukazała jej się głowa pokryta czarnemi włosami. Niepokój i zmęczenie zmieniły do niepoznania twarz nieszczęśliwego.

Stanął na wywyższonym brzegu rowu, obejrzał się na wszystkie strony i znów zaczął biedz przez

pooraną rolę. I on także zdawał się tracić siły, bo nie biegł już tak prędko; a może też sądząc że zdołał skryć się przed wzrokiem swego wroga, nie uciekał już tak śpiesznie.

Stąpając po tłustej i spulchnionej ziemi, zgubił jeden kamasz, a gdy dobiegł do końca pola i zamierzał przejść przez płot, rozległ się strzał, i pan de Mortrée stoczył się w rów, nie wydawszy najlżejszego krzyku.

Wilczyca, jakby nową natchniona siłą, przebiegła w minutę odległość oddzielającą ją od miejsca w którem padła jej ofiara. Widziała że pan de Mortrée upadł, ale mógł być tylko raniony.

Zeszła do rowu, pochyliła się i przekonała że nieszczęśliwy leżał bez ruchu, z głęboką raną na zalanem krwią czole. Dziki, przerażający uśmiech poruszył jej usta i odkrył białe zęby. Wychyliła ostrożnie głowę z rowu, spojrzała na około, potem znów się schyliła, przyglądała się chwilę swej ofierze i położyła rękę na jej sercu.

Przestało bić... Marcelin de Mortrée zakończył życie!

Wilczyca zarzuciła strzelbę na plecy, wyszła z rowu, przebiegła pole i zniknęła znów w lasku.

Tegoż samego dnia, hrabina de la Trémeillan wyjechała do południowej Francyi.

W kilka tygodni później, Jan Torquenié został aresztowanym. Wilczyca nie traciła czasu; rozpuściła zręcznie i szybko bajeczkę o miłostkach wice-hrabiego Marcelina z Maryanną Torquenié! Biedna Maryanna nie mogła się bronić; nagłe zjawienie się hrabiego i okropna scena której następnie była świadkiem, tak nią silnie wstrząsnęła i przestraszyła, że dostała gwałtownej gorączki, skutkiem której straciła przytomność. Nie zdawała sobie sprawy z tego co się koło niej działo; nie wiedziała jakie podejrzenia ciężą na jej mężu.

Wilczyca osiedliła się natychmiast u niej, pod pozorem doglądania jej w chorobie, rzeczywiście zaś chcąc wiedzieć o wszystkiem co się działo w domu leśniczego, aby zapewnić powodzenie swym piekielnym planom.

Po spełnieniu zbrodni, korzystając z nieobecności Jana Torquenié i choroby Maryanny, schowała napowrot do szafy karabinek jeszcze poczerniony prochem, aby to służyło za dowód że używano go niedawno.

Pan de Trémeillan od dnia spełnienia tej strasznej zbrodni, wpadł w jakiś ponury smutek; nie opuszczał prawie obszernego pokoju na dole, do którego kazał przenieść swe łóżko.

Wilczyca przychodziła czasem do niego, ale zaledwie jej odpowiadał. Zdawało się że niekiedy wzrok tej kobiety przejmował go wstrętem. Co do niej, działała zawsze z równie dziką energią, nie zdając się zwracać uwagi na opryskliwe odpowiedzi i gniewne usposobienie pana; a gdy widziała że jest pochmurny i rozdrażniony, pocieszała go zapewnieniem:

— Niech pan się nie troszczy o nic, wszystko idzie dobrze.

Następnie opowiadała mu jakich używała sposobów aby oszukać sądy i zwalić na człowieka niewinnego, zbrodnię popełnioną z rozkazu pana de Trémeillan.

Pewnego wieczora przyszła do niego trochę wzburzona i niespokojna: znać było że chce coś powiedzieć, a nie wie jak się z tego wywiązać.

— Co ci się stało? zapytał hrabia, a w głosie jego znać było gniew i niespokojność. Czy zaszło coś nowego?

— Tak, panie, odpowiedziała Wilczyca odwracając głowę. Maryanna Torquenié umarła.

Hrabia odetchnął; obawiał się widocznie jakiejś strasznej dla siebie wiadomości. Jednak spokojny już teraz co do siebie, zastanowił się lepiej nad tą wiadomością, przypomniał sobie niezwykłe pomieszanie Wilczycy, przypomniał sobie jak wahała się uwiadomić go o tem.

— Przecie nie zabiłaś jej! zawołał patrząc jej w oczy.

— Gdyby nie umarła, mogłaby wyjawić prawdę, i wszystko byłoby stracone, odpowiedziała ponuro Wilczyca.

Twarz pana de Trémeillan pokryła się martwą bladością; spojrzał do koła przerażonym wzrokiem, ale z ust jego nie wyszło ani jedno słówko potępiające czyn tak niecny i zbrodniczy.

Zrozumiał że to morderstwo było potrzebnem, i pomimo że budziło w nim odrazę, nie śmiał oburzać się na Wilczycę. Czuł że mówiła prawdę; śmierć Maryanny, jedynego świadka któryby mógł wyjawić co zaszło w pałacu owej strasznej nocy, zapewniała mu zupełną bezkarność i pokrywała wieczną tajemnicą niesławę hrabiny.

Jan Torquenié został skazanym na galery, w skutek nieprzychylnych zeznań świadków, a nadewszystko wskutek bezczelnych kłamstw Wilczycy.

Hrabia de Trémeillan był o tyle nikczemnym że pozwolił popełnić tak straszną niesprawiedliwość. Nie zabrakło mu nawet odwagi do złożenia w sądzie oklepanego świadectwa, że Jan Torquenié spełniał wiernie i starannie swe obowiązki. Uważał to widać za dostateczną nagrodę dla nieszczęśliwego, którego w swoje miejsce posyłał na galery.

XXIX.

Nie łatwo było zniewolić Wilczycę do opowiedzenia przytoczonych powyżej szczegółów; w końcu jednak złożyła dokładne zeznanie i podpisała się na niem. Ale po dopełnieniu tej formalności, siły opuściły ją zupełnie; opadła bezwładnie na krzesło, z głową pochyloną na piersi, zgięta, jakby ją przytłoczyła jakaś żelazna ręka.

— Nie mamy tu już nic do czynienia, rzekł Armand wstając.

W ogrodzie spotkali chłopca posługującego Wilczycy.

— Biegnij natychmiast do księdza proboszcza, rzekł do niego Armand wsuwając mu pieniądz w rękę, proś go aby przyszedł jak najprędzej wyspowiadać osobę umierającą.

Mówiąc to wskazał mu ręką mieszkania Wilczycy.

Na twarzy chłopca odmalowało się głębokie przerażenie; spojrzał z przestrachem na domek, potem zdjął saboty i pobiegł do Bonnieres.

Armand d'Arçay rozmawiał w drodze z towarzyszami o ważnem zeznaniu, które otrzymali przed chwilą. Tak więc pan de Trémeillan nie był bezpośrednim sprawcą tych zbrodni; zawinił tylko ciężko, dozwalając Wilczycy zamordować wice-hrabiego, i korzystając z dalszych jej zbrodni, które popełniła dla uchronienia go od odpowiedzialności za zabicie pana de Mortrée.

— Ta kobieta zapewnie wkrótce zakończy życie; odezwał się sędzia, a w takim razie będzie można tak ułożyć rzeczy że unikniemy skandalu.

Armand odesłał swych towarzyszów do Rennes, sam zaś wysiadł z powozu i poszedł pieszo do Mesnil. Żegnając się z nimi, prosił ich raz jeszcze o zachowanie tajemnicy, i umówili się że nazajutrz przyjedzie do Rennes, aby ułożyć wraz z nimi co dalej czynić wypada.

Wrócił do Mesnil dopiero na obiad, udał się też zaraz do sali jadalnej i przestąpił jej próg wydając mimowolny okrzyk podziwienia.

Małgorzata de Trémeillan siedziała przy stole obok jego matki.

Stał chwilę nieruchomy, niepewny czy to nie sen tylko, ale pani d'Arçay rozproszyła w kilku słowach tę jego niepewność.

— Wyobraź sobie, rzekła, że przed chwilą spotkałam w ogrodzie drogą naszą Małgorzatę. Przyprowadziłam ją tu z sobą, i pozostanie u nas na obiedzie, a Wirginia odprowadzi ją wieczorem. Ale połajałam ją za to że już tak dawno nie odwiedziła swej przyszłej mamy.

Gdy pani d'Arçay to mówiła, Armand wpatrywał się w pobladłą twarzyczkę Małgorzaty i w jej zaczerwienione od łez oczy. Wymuszony uśmiech błąkający się po jej bladych ustach, sprawiał na nim bolesne wrażenie.

Odgadywał całą niespokojność i udręczenia biednej dziewczyny, z jej oczów zwróconych na niego. Znajdowała się rzeczywiście w dziwnem i bolesnem położeniu. Wiedziona zadziwiającą, właściwą kobietom przenikliwością, odgadła od razu że pani d'Arçay nie wie jeszcze o niczem. Przyjęła zaproszenie na obiad, bo chciała koniecznie widzieć się i rozmówić z Armandem i z ust jego dowiedzieć się jak rzeczy stoją, i dla tego odważyła się przekroczyć surowy zakaz ojca, wyrwać z zamknięcia w jakiem ją trzymał. I tak przez dwie godziny, gdy głowa jej płonęła a serce biło tak silnie iż zdawało się że pierś rozsadzi, ilekroć ujrzała jakiś cień przesuwający się w ogrodzie lub dosłyszała odgłos pałacowego dzwonu; przez dwie godziny musiała podtrzymywać poufałą, ale w gruncie czczą rozmowę, zacnej, niczego nie domyślającej się pani d'Arçay, która uważając ją już za synową, mówiła o wyprawie, o strojach, o podarunkach ślubnych i urządzeniu domu, i to gdy rozpacz miotała jej duszą, gdy czuła jak rozpada się kruchy gmach jej szczęścia, ze wszech stron podkopany.

Obiad ten stał się dla niej i dla Armanda prawdziwą męczarnią; musieli ukrywać smutek i boleść szarpiącą ich serca, udawać wesołość, uśmiechać się i mówić o rzeczach obojętnych. Armand nie umiał sobie wytłomaczyć niespodziewanego przybycia Małgorzaty. Czyżby odzyskała wolność? czy hrabia de Trémeillan skłania się nareszcie do jego przedstawień? czy przynosi mu słowa pociechy lub przychodzi aby wyzwolił ją z tak okropnego położenia?

Jednak po namyśle doszedł do wniosku że matka jego przypadkiem zeszła się z Małgorzatą, która przychodziła aby jak w Rennes z nim się tylko zobaczyć i rozmówić. I tak też było, ale zrozumiawszy że pani d'Arçay nie wie o niczem, poszła z nią do pałacu jak gdyby rzeczywiście przybyła ją odwiedzić.

Otóż zobaczyła go, siedzieli obok siebie, a jednak nie mogli pomówić swobodnie o tem co ciągle mieli w sercu i na ustach. Męczarnia ta ustała po upływie dwóch godzin które im się wydały jak wiek długie. Może pani d'Arçay zrozumiała że mają sobie coś do powiedzenia, bo gdy podano wety, wyszła pod jakimś pozorem zostawiając ich samych.

Gdy tylko zamknęła za sobą drzwi sali jadalnej, Małgorzata wstała prędko, mówiąc:

— Wyprowadź mnie do ogrodu, Armandzie, brak mi tchu w piersiach...

Za chwilę siedzieli w mocno zacienionym gaiku z kaprifolium.

— Nie pytaj mnie, Armandzie, jakim sposobem przyszłam, rzekła prędko zniżonym głosem, drżę ciągle z obawy; zdaje mi się że lada chwila ojciec nadejdzie, uprowadzi mnie ztąd i zamknie znów w pokoju, który dla mnie na więzienie zamienił... Umieram dręczona niewysłowionym niepokojem... nic nie wiem co się dzieje... Przyszłam zasięgnąć wiadomości od ciebie... powiedz mi jak rzeczy stoją... powiedz czy mogę mieć nadzieję że raz przecie skończą się moje męczarnie.

— Tak, wszystko skończy się niezadługo, odrzekł Armand ujmując rękę narzeczonej... tylko dziś nie mogę jeszcze wiedzieć jaki będzie koniec. . Przysięgam ci tylko, droga Małgorzato, że miłość moja dla ciebie jest tak wielką i bezgraniczną, iż zdoła kiedyś zatrzeć nawet wspomnienie wszystkiego, co przecierpiałaś podczas tej ciężkiej próby jaką przetrwać musimy.

Lekki uśmiech zajaśniał na bladych ustach panny de Trémeillan; ścisnęła rękę Armanda, mówiąc pewnym głosem:

— Odwagi mi nie zbraknie; mówmy prędko, minuty są policzone. Udało mi się zmylić czujność strażników jakimi ojciec mnie otoczył, ale lada chwil mogą dostrzedz moją obecność... Czy wiesz co ojciec powiedział mi wczoraj?... oto że jeźli będę koniecznie starała się zobaczyć z tobą, wywiezie mnie gdzieś daleko po za granice Francyi, do Włoch, do Austryi i tam zamknie w klasztorze.

Armand opowiedział jej w krótkości co zaszło od ostatniego ich widzenia się z sobą, i jakim sposobem zmusił Wilczycę do zeznań.

— A więc to prawda! szepnęła z westchnieniem.

Biedna aż do ostatniej chwili chciała się łudzić że straszny ten dramat, z którym tak ściśle była złączona, był tylko okropnym, przerażającym snem, teraz formalne zeznania Wilczycy przekonywały ją o rzeczywistości nieszczęścia.

— Cóż teraz zamierzasz czynić? zapytała spoglądając na Armanda z niewysłowionym niepokojem.

— Jutro zaraz udam się do twego ojca, aby go zawiadomić że skutkiem zeznań Wilczycy sąd zna wszystkie okoliczności tej sprawy, że przeto musi powziąść stanowcze postanowienie. Spodziewam się, że zmuszony koniecznością. uzna nareszcie iż nie pozostaje mu jak opuścić Francyę. Wtedy prędko i przezornie przeprowadzimy sprawę; Wilczyca, na której cięży największa wina, zostanie skazaną, co zaś do ojca twego, sądy najniezawodniej okażą się pobłażliwe, ze względu na łagodzące okoliczności.

— Jeźli ojciec opuści Francyę, zabierze mnie z sobą i na zawsze zostaniemy rozłączeni! zawołała, z rozpaczą załamując ręce. Ah! w jakże strasznem postawiłeś nas położeniu! co teraz począć? jak wyjść z niego? Do koła otaczają nas nieprzebyte trudności i zapory... Armandzie, ty nie mówisz mi całej prawdy!... ty wiesz że wszystko stracone... że nie będę już mogła zostać żoną twoją... i tylko łudzisz mnie abym ci nie przeszkadzała spełnić do końca straszny twój obowiązek.

— Czy kochasz mnie, Małgorzato? zapytał wpatrując się w jej oczy.

— Czy ja cię kocham! zawołała namiętnie, pomimo wszystkiego co wycierpiałam przez ciebie, ani na chwilę kochać cię nie przestałam...

— A ja uwielbiam cię, ubóstwiam, kochanko moja!... zawołał klękając przed nią. Ufaj mi, pokonamy wszelkie przeszkody, zostaniesz żoną moją. i będziemy bardzo, bardzo szczęśliwi.... Mówisz że hrabia de Trémeillan wywiezie cię z Francyi—mniejsza o to!... gdziekolwiek cię zawiezie, ja udam się za tobą... Minęły już te czasy kiedy można było córki wbrew ich woli zamykać w klasztorze. Wiem że umiesz być mężną, znam siłę twego charakteru i ufam ci ślepo; błagam cię, Małgorzato, co bądź wypaść może, nie wątpij nigdy o mnie, jak miłość tak ufność odpłać mi ufnością.

— Cicho!... słuchaj!...

Zerwawszy się prędko, Małgorzata zaczęła się przysłuchiwać; zdało jej się że usłyszała szelest nadchodzących kroków, i myślała pewnie że może to ojciec przychodzi po nią. Armand dostrzegł że twarz jej śmiertelną pokryła się bladością.

Jakoż rzeczywiście ktoś nadchodził; pomimo zapadającego zmierzchu, cień jakiś dostrzegli tuż blizko. Małgorzata siłą woli powstrzymała okrzyk przerażenia, Armand powstał zasłaniając ją sobą.

— Przebaczcie mi państwo że wam przerywam rozmowę, przemówił głos smutny który Armand poznał od razu. Byłem w pobliżu i słyszałem rozmowę waszą.

— To Jan Torquenié, rzekł Armand cicho, bądź więc spokojna.

— Panie d'Arçay, panno de Trémeillan, rzekł Torquenié, zapewnie przeklinacie nieszczęśliwego galernika, który zatruł wasze szczęście... Tak, cierpicie przeze mnie!... O! Boże! Boże! czyż podobna aby niewinni tak srodze pokutowali za zbrodniarzy!... A! gdybym nie miał córki!...

Zamilkł tłumiąc głośne łkanie.

— Rozpłakałem się przed chwilą słysząc słowa twoje, panno de Trémeillan... Ale cóż pocznę! mam córkę którą kocham nad życie, pojmujesz więc pani że przez wzgląd na nią, nie mogę pozostać na zawsze galernikiem, którym świat ma prawo pogardzać i odtrącić!... O! przysięgam że gdybym sam był na świecie, umiałbym zdobyć się na podobną szlachetność jak pan d'Arçay... zniknąłbym na zawsze i nigdy już nie posłyszelibyście o mnie.

— Powinieneś zostać uniewinnionym, rzekł Armand z powagą; choćbyś sam tylko był na świecie nie wolnoby ci było zaprzestać domagania się sprawiedliwości, od ludzi którzy cię niesłusznie potępili.

— Ah! jakże pan jesteś dobrym i szlachetnym, jak mężną i wzniosłą posiadasz duszę! zawołał Torquenié w uniesieniu wdzięczności i uwielbienia. A! nigdy nie zdołam odpłacić się za to co czynisz dla mnie .. O! panie d'Arçay za ciebie chętnie oddałbym życie!...

— Armandzie! ojciec mój idzie! zawołała przerażona Małgorzata, która wiedziona jakiemś przeczuciem, ciągle wpatrywała się w krzaki coraz w większej pogrążające się ciemności.

Od chwili przybycia do Mesnil, ciągle miotała nią obawa, że lada chwila ujrzy przed sobą ojca; myśl ta nie opuszczała jej i ciągle zostawała pod wpływem niewysłowionego niepokoju.

Groźne przeczucie urzeczywistniało się obecnie. Jedną z przyległych alei ogrodu szedł prędko jakiś mężczyzna, zapewnie zmierzając ku Janowi Torquenié stojącemu przed altanką, a którego musiał dostrzedz z daleka, pomimo coraz więcej zapadającej ciemności.

Małgorzata poznała od razu hrabiego de Trémeillan.

Zimna krew i przytomność umysłu nie opuściły Armanda.

— Wracaj prędko do siebie, rzekł do Małgorzaty, Torquenié odprowadzi cię do pałacu; a zwracając się do niego, dodał:

— Powierzam twej opiece pannę de Trémeillan; oto masz sposobność okazania mi twej wdzięczności.

Małgorzata i Torquenié zniknęli w gęstwinie drzew; musiał podtrzymywać jej kroki, gdyż przerażona drżała jak liść.

Armand stanął w miejscu opuszczonem przez galernika oczekując na nadchodzącego hrabiego de Trémeillan.

XXX.

Pan de Trémeillan zatrzymał się o dwa kroki od Armanda.

— Chciałbym widzieć się z panem d'Arçay, rzekł głosem przerywanym z powodu zmęczenia. Idź i powiedz mu że pan de Trémeillan czeka tu w ogrodzie.

— Co pan hrabia sobie życzy? rzekł Armand zbliżając się do niego.

Pan de Trémeillan spojrzał na niego z zadziwieniem. Sądził widocznie że mówi do któregoś ze służących, i nie spodziewał się zobaczyć tak nagle Armanda. Przybrał jednak natychmiast postawę obojętną.

— Potrzebuję pomówić z panem, rzekł, i cieszy mnie bardzo że go tu spotykam, rozmowy naszej nikt nie powinien słyszeć.

— Słucham pana.

— Zapewnie pan zgaduje co mnie tu sprowadza, mówił dalej hrabia. Byłem dziś w Bonnieres u księdza Dubois, a wracając wstąpiłem do domu znanej panu kobiety... tam dowiedziałem się że pan był u niej z dwoma urzędnikami sądowymi. Chcesz więc koniecznie wznowić tę nieszczęsną sprawę... Nie szanujesz ani umarłych ani tych którzy przez swe stanowisko zasługują na twe względy. Chcesz mnie pokryć hańbą, panie d'Arçay.

— Chcę tylko, panie hrabio, aby przywrócono cześć człowiekowi niewinnemu, a zhańbionemu przez pana. Ale po cóż mamy mówić jeszcze o tem; pan hrabia wie że nic nie zdoła zmienić mego postanowienia.

— Tak, wiem, wiem także jakiego pan użył sposobu dla zmuszenia tej nieszczęśliwej do zeznań, i podziwiam twe zdolności. Potrafiłeś zwyciężyć i zniweczyć trzydziestoletnie już wierne przywiązanie, przestraszyć prawie umierającą kobietę, i doprowadzić ją do tego że zdradziła swego pana. Może pan być dumnym ze swego dzieła.

— Szydercze pochwały pana hrabiego nie zdołają mnie dotknąć. Użyłem dla dojścia do celu środków, do których każdy uczciwy człowiek przyznać się może. Udało mi się otrzymać zeznanie wspólniczki pana w obecności dwóch urzędników sądowych, i cieszy mnie to, gdyż tym sposobem będę mógł przyśpieszyć rozwiązanie tej nieszczęsnej sprawy.

— Jest to przedwczesna uciecha, rzekł ponurym głosem pan de Trémeillan. Sądzisz pan że już wziąłeś mnie na cel, jak starego dzika obsaczonego w legowisku, ale strzeż się,—kula twoja może zranić a nawet zabić jeszcze kogoś więcej.

(D. n.)

Opis do N-ru 7.

(Dokończenie.)

Złączenie panier z tyłu przykrywa koronka przyszyta brzegiem stanika od boczków, z tyłu w około bawetu suto namarszczona i podpięta kokardami. Przybranie przodu sukni wymaga najpierw dwóch brytów krajanych podług *e*, które do sukni aksamitnej mogą być dodane z atłasu; następnie przy tych brytach dodane jest garnirowanie z koronki, widoczne z przodu na roztwarciu brytów i z boku tworzące kliny, naszyte na spódnicy na brycie *b*. Ostatni rząd koronki spuszcza się na falbanę plisowaną atłasową i jest widoczny na przecięciach nakształt zębów po 12 cent. długich. Tylne bryty łączą się z bocznemi klinami, po założeniu fałdy 8 cent. głębokiej, oznaczonej krzyżykiem na brycie *c*.

N. 28. Suknia princesse dla osoby w starszym wieku.

Odrobiona jest gładką formą princesse z wielkim trenem, z ciężkiej jedwabnej moiré antique, ciemno-popielatego koloru, z pięknemi srebrnemi guzikami filigranowej roboty. Okrągły pelerynowy kołnierz aksamitny, oszyty pasmanterya z perełek i frendzlą sznelową. Czepeczek z blondyny i wstążki; kołnierzyk i mankiety koronkowe.

N. 29. Suknia z fałdowanem vêtement.

Odpowiednia dla młodej osoby, uszyta z blado niebieskiego batystu, ma spódnicę garnirowaną plisowanemi falbankami, krotkie vêtement zaplisowane w wąziutkie (½ c. szerokości) fałdki, ułożone na gładkiej, dopasowanej do figury podszewce. Fałdki te są zastębnowane na wysokość zaszewek a do dołu na długość baskiny, wyżej zaś i niżej rozsuwają się wolno. Odpowiednio do stanika i rękawy środkiem założone są w fałdki, u góry rozsunięte w bufę, a u dołu zakończone falbanką.

N. 30. Suknia z wyciętą bluzką.

Do spódnicy z trenem lub bez, garnirowanej szerokiemi i wązkiemi plisowanemi falbanami, włożone vêtement z różowej materyi, przykrojone formą princesse zapinaną z tyłu, u gory wycięte gorsecikowo i dopełnione fałdowaną bluzką z różowego tiulu.

N. 31. Suknia z odmiennem vêtement.

Spódnica z gładkiego materyału, cała pokryta bufami, ma dodane vêtement z materyału deseniowego, z przodami szeroko niedochodzącemi, dopełnionemi bluzką z tego co spodnica materyału i ze sznurowanemi jedwabnym sznurem.

N. 32. Suknia z frakowem vêtement. Przód i krój na arkuszu N. VIII, fig. 36—37.

Nad plisowaniem 20 cent. szerokiem upięta jest tunika, przykrojona podług miar oznaczonych na maleńkim formacie kroju fig. 36, gdzie *d* oznacza połowę przodu, *e* draperyę tylną. Przód sfałdowany z boków wpuszczony w szew spódnicy; tylny bryt tworzy bufę 53 cent. długą, a u dołu zebrany w pięć kontrafałd. Vêtement kraje się podług liter a—c; szose z tyłu złożone podwójnie kraje się wprost od boczków, poczem krzyżuje podług ryc. 32 i przypina przy pleckach, w miejscu oznaczonem gwiazdką. Chusteczka z indyjskiego muślinu i koronki.

N. 39—40. Penioar z szerokiemi rękawami. Krój na arkuszu N. XI, fig. 58—60a.

Formę szerokich rękawów, przemarszczanych z wierzchu pod kokardą, podaliśmy w dwóch częsciach A i B dla braku miejsca; zestawienie formy jak również miary całkowitej długości i szerokości przodów i pleców (nie licząc w to 15 cent. szerokiego obrąbka) wypisane są na maleńkim formacie kroju fig. 58a—60a. Krając przody trzeba na szerokość naddać materyału na zakładki po ½ cent. szerokie, zajmujące w każdej połowie przodu 8—10 cent. i przeszyte w odstępach 7 cent. patkami ze wstawki 3 cent. szerokiej. Kołnierz kraje się podług linii prostej oznaczonej na fig. 58 i 59, wykończa oddzielnie i przystębnowywa do kaftanika, poczem można wyciąć materyał gładki od spodu.

N. 41—43. Ubranie dla małego chłopca lat 5—7. Krój na arkuszu N. XII, fig. 61—67.

Odrobione z bronzowego sukienka i naszyte wązką wełnianą taśmą. Fig. 63—64 dają formę gładkiej podszewki pod fałdowaną żakietkę; zwierzchni materyał na plecach i na prawej połowie przodu zachodzącej na wierzch, założony jest w trzy kontrafałdy po 3 cent. szerokie, które na 17 cent. od dołu puszczone są luźno. Wykłady na rękawach są 8 cent. szerokie; kieszonki dodają się przy przecięciach oznaczonych na fig. 63 i dopełniają patką podług fig. 67. Pasek 5 cent. szeroki, zapięty klamerką.

N. 44. Spódnica z długim prosto ściętym paskiem. Krój na arkuszu N. XIV, fig. 74—76.

Eleganckie strojne i balowe suknie z trenami, są tak podgarnirowane od spodu falbanami i riuszami, iż spódnica z trenem byłaby zbyteczną i zwykle używane są krótkie spódniczki z falbanami. Fig 74 wskazuje krój brytów spódnicy; przód i kliny boczne wszyte są gładko w pasek krajany z podwójnego materyału podług fig. 75 do 76, tylny bryt trzeba trochę nadmarszczyć. Przybranie stanowią dwie falbany po 9 cent. szerokie, zaplisowane po nad haftem, z których niższa przystębnowana jest wązką pliską, a wyższa przyszyta wszywką odpowiednią do deseniu falban, wyciętą w zęby w około haftu. Pas zapięty z tyłu na guziki.

N. 45. Spódnica z okrągłym paskiem. Krój na arkuszu N. XV, fig. 77—78.

Krój brytów spódnicy jest taki jak do ryc. 44; pasek kraje się podług fig. 78; przód i boki zostają gładkie, tylny bryt nadmarszcza się i brzegi brytów wpuszczone między podwójny pasek są zastębnowane. U góry pasek w połowie jest przestębnowany gładko, a z tyłu nawleczony na tasiemki do wiązania. U dołu spódnicy dany wolant 12 cent. szeroki, zastębnowany w zakładki, oszyty wszywką koronkową 6 cent. szeroka, po za którą dana batystowa falbaneczka oszyta koronką. Na tylnym brycie naszyte cztery falbany zastępujące turniurę.

N. 46. Kaftanik wełniany pod suknie wycięte. Patrz ryc. 3 w N-rze 6.

Może być robiony z włóczki zwyczajnej, angorskiej lub bawełny, zupełnie luźno na drutach. Zaczyna się od dołu na 192 oczek i robi w około 20 razy na szlak dolny, naprzemian 2 oczka gładkie, 2 kręte, poczem zaczyna się tło wskazane w naturalnej wielkości na ryc. 3 w N. 6, złożone naprzemian z 1 oczka gładkiego i 3 oczek krętych lub gładkich, stosownie do obrobienia. Co sześć rzędów posuwają się oczka tak, aby tło stanowiło kwadraciki mijające się z sobą. Obrobiwszy 108 rzędów zaczyna się rozporek przedni, przy ktorym dorabia się przy lewej połowie przodu 4 oczka na listewkę zachodzącą pod guziki. Gdy mają się zacząć pachy do rękawów, robotę rozdzielić trzeba na trzy części, tak aby plecy i każda połowa przodów była na innym drucie. W przodach po 50 oczek liczących, przybiera się oczka na kliniki na piersiach, które zaczynają się od trzech oczek i rozszerzają stopniowo ku górze. Skończywszy przody robi się ramiączka po 18 oczek szerokie, obrobione 28 razy. Plecy mają również dodane ramiączka, które od lewej strony łączą się z przedniemi i tworzą pachę 84 oczek liczącą, w którą wszywa się rękawki zrobione oddzielnie, rozszerzone w klin odpowiedni do pachy. Wykrój kaftanika i brzeg rękawków obrobiony ząbkami szydełkowemi.

N. 47—49. Poduszka do kanapy, ozdobiona hiszpańskim koronkowym haftem. Deseń na arkuszu fig. 40-42.

Z wierzchu pokryta jest ciemno-oliwkowym pluszem 44 cent. szerokim, 35 długim, który w jednym rogu poduszki jest odwinięty i podszyty innym kolorem, róg zaś poduszki pokryty jasnym cieniem. Środek poduszki zajmuje skośnie naszyta koronka niciana 5 cent. szeroka, wyszyta kolorowym jedwabiem, z brzegów zakończona pikotami ze złotego sznureczka. Główne przyozdobienie poduszki stanowią arabeski wyszyte hiszpańskim koronkowym ściegiem; ten rodzaj haftu podaliśmy już poprzednio w Tygodniku, dziś więc tylko na dwóch bardzo wyraźnych próbkach wskazujemy odmienne rodzaje ściegów na ryc. 47 i 49. Niektóre figury deseniu wycięte są z żółtawego płótna podklejonego bibułką i przyszyte na tle pluszowem rozciągniętem w krosienkach. Cienki sznureczek złoty odznacza kontury i łączy deseń; ścieg zaś łańcuszkowy, sznureczkowy i luźny odrabia się filozelą dzieloną po dwie nitki. Oprawę poduszki wykończoną w świeżym guście wskazuje ryc. 48.



N. 1. Płaszczyk z przemarszczoną pelerynką, dla dziewczynki lat 3—5.

N. 2. Suknia z draperyą nakształt szarfy.

N. 3. Płaszczyk ozdobiony kokardami. Patrz ryc. 28.



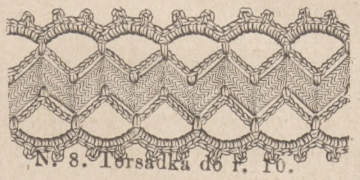
N. 4. Koronka „point de France" do sukien, chusteczek i t. p. Patrz ryc. 5.

Opis do N-ru 8.

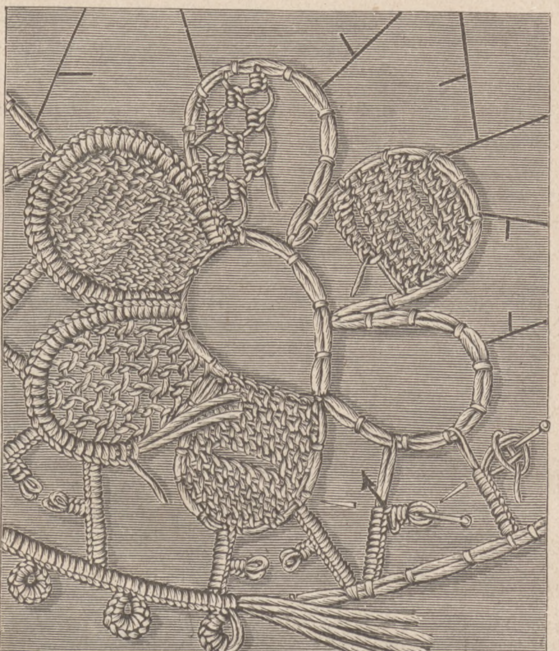
N. 1—2 i 28. Ubrania domowe i spacerowe dla dam i dzieci.

N. 1. Płaszczyk z przemarszczaną pelerynką dla dziewczynki lat 3—5.

Trochę wcięty paletocik biały kaszmirowy, na podszewce watowanej jedwabnej, zapinany na dwa rzędy guzików, zdobi atłasowa cała przemarszczana pelerynka, oszyta koronką 7 c. szeroką, mająca 18 c. długości. Proste o jednym szwie rękawy są przy ręku przemarszczone i zakończone nagłówkiem 4 cent. szerokim. Szarfa ze wstążki w atłasie 8 cent. szerokiej, kapotka biała pluszowa ubrana wstążką w atłasie.



N. 8. Torsadka do r. 10.



N. 5. Wykonanie koronki „Point de France". Patrz r. 4



N. 6. Kapelusz aksamitny z rondem przeciętem z przodu.



N. 10. Woreczek do robót. Patrz ryc. 8—11.



N. 12. Torsadka robotą wiązaną macramé.

N. 2. Suknia z draperyą szarfową.

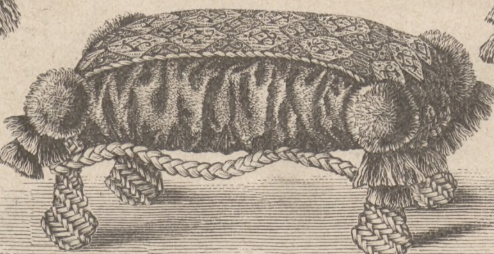
Mieszanie trojakiego rodzaju materyi w ubraniach, ciągle się utrzymuje; model pięknej sukni ryc. 2, odrobiony był z kaszmiru, atłasu i mory. Dół sukni o ile nie zasłania go draperya ułożona z 58 c. szerokiego kawałka mory, zagarnirowany jest 7 cent. szerokiem plisowaniem z atłasu i 12 cent. szerokiemi bufkami z mory; przód sukni powyżej draperyi pokryty jest kaszmirem ułożonym w płaskie fałdy. Tylne bryty sukni zdobi wielka, 30 cent. szeroka morowa kokarda, przypięta do krótkiej gładkiej baskiny pleców, od której końce spadają do dołu. Skośnie zapinany stanik kaszmirowy, w miejsce kołnierza oszyty jest morową bufką z nagłówkami. Krótki bawet zakończony fałdowanym atłasowym paskiem. Kokardy ze wstążki atłasowej.



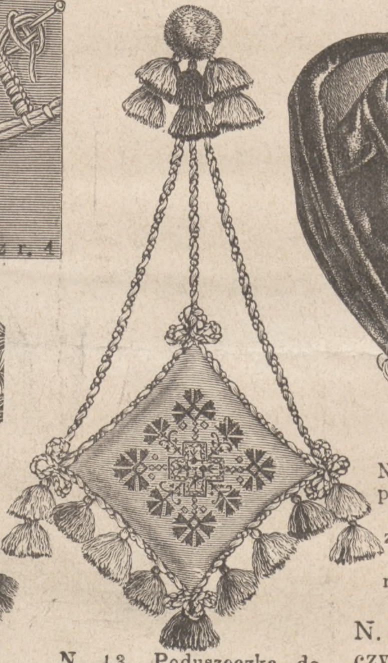
N. 9. Torsadka do r. 10.



N. 14. Torsadka szydełkowa do r. 15.



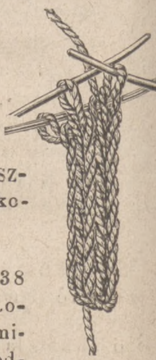
N. 15. Stołeczek pod nogi. Haft peruwiański. Patrz ryc. 14—16.



N. 13. Poduszeczka do szpilek do zawieszenia na toalecie.



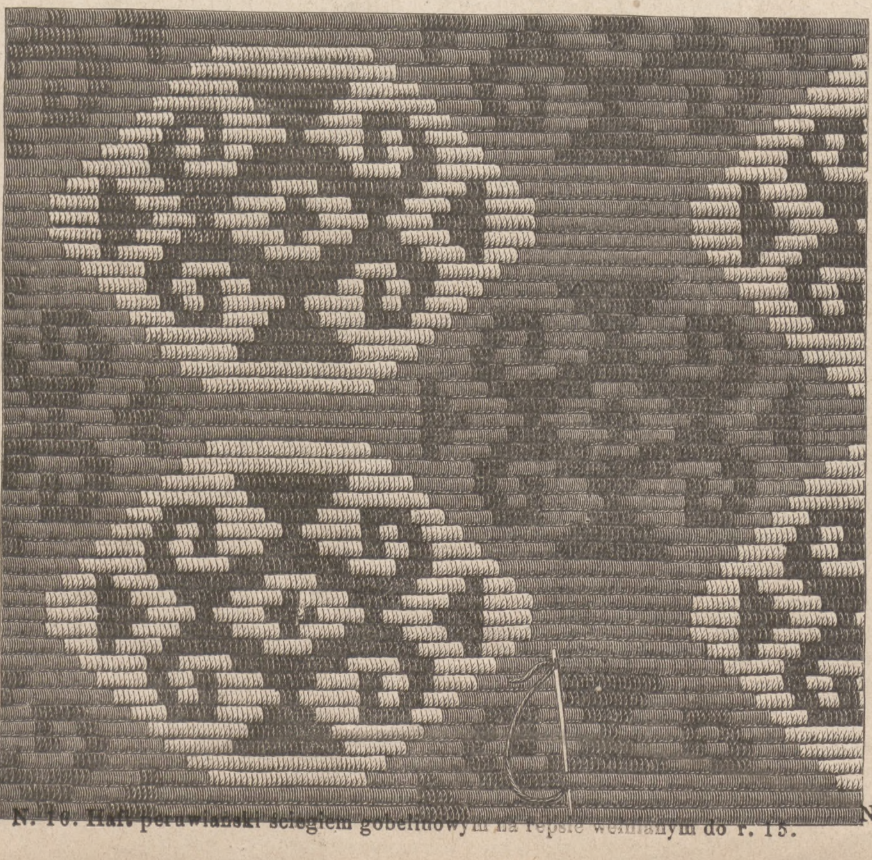
N. 7. Kapelusz filcowy z odwiniętem rondem.



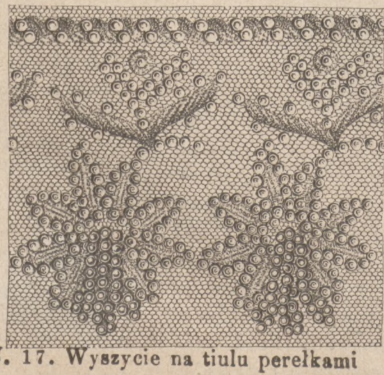
N. 11. Wykonanie sznurka do ryc. 10.

N. 3 i 28. Płaszczyk ozdobiony kokardami.

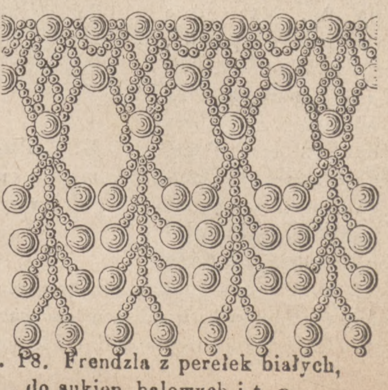
Ryciny 3 i 38 przedstawiają z przodu i z tyłu płaszczyk, podług najświeższej formy, odrobiony z kaszmiru na ciepłej flanelkowej podszewce, lub z atłasu, aksamitu albo pluszu, na podszewce pikowanej jedwabnej. W górze drobne przemarszczanie tworzy karczek 15 cent. szeroki; u dołu dla dopełnienia szerokości, wstawia się w środek pleców w rozporek 35 cent. długi, oddzielną część fałdowaną. Rękawy koło ręki przemarszcza się na falbanę 12 cent. szeroką; przy wykroju szyi dana falbanka 6 cent. szeroka. Kokardy ze wstążki w atłasie.



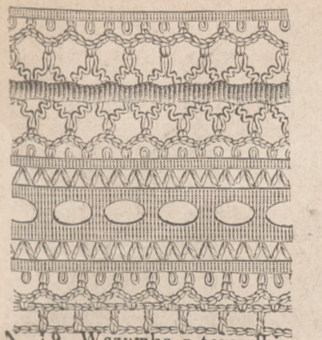
N. 16. Haft peruwiański ściegiem gobelinowym na repsie wełnianym do r. 15.



N. 17. Wyszycie na tiulu perełkami i sznelą.



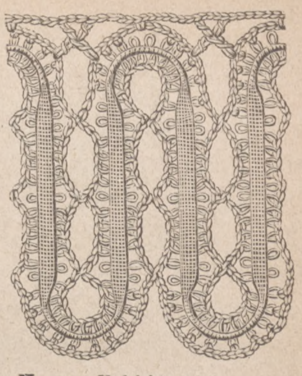
N. 18. Frendzla z perełek białych, do sukien balowych i t. p.



N. 19. Wszywka z torsadki i roboty szydełkowej.

N. 4—5. Koronka „Point de France" do sukien, chusteczek i t. p. Materyał: nici koronkowe na szpulkach Nr. 160 i 200, nici do szycia w pasemkach N. 40.

Dość zmudna praca opłaca się pięknością koronki, która zarówno zdobić może suknie, jak i batystowe chusteczki do nosa, krawatki lub chusteczki na szyję. Po bliższem rozpatrzeniu się w znacznie powiększonej próbce ryc. 5, poznamy że wykonanie nie jest tak trudne, jak się na pierwszy rzut oka wydaje. Deseń koronki trzeba najpierw na kolorowej ceratce narysować, następnie kontury oznaczyć podwójną nitką N. 40, przyczepianą do ceratki nitką koronkową N. 166; po starannem oznaczeniu konturów robić kratki nićmi N. 200. Ryc. 5 dokładnie przedstawia trzy rodzaje kratek, z których jeden matowy stanowią rzędy dziergane, robione na prosto podłożonej nitce, łączące się jedne z drugiemi, tylko w odstępach gdzieniegdzie otworkami przedzielane, druga kratka z ząbków zaczepianych jedne w drugie jest powszechnie znana, trzecią stanowią takież ząbki, w następnym rzędzie obrabiane trzema ściegami dzierganemi. Pręciki obrabiane ściegiem dzierganym i ozdobione pikotami, stanowią ażurowe tło koronki i łączą z sobą figury deseniu. Pikoty robi się na szpilkach wsadzonych w ceratkę, sposobem wskazanym na ryc 5, tak przytrzymane pentelki pikotów wiążą się trzema dzierganemi ściegami, od których nitkę przeprowadza się od spodu do wierzchu, jak to strzałka wskazuje. Po zrobieniu pręcików odzierguje się kontury figur nićmi N. 160; pod dzierganie podkłada się jeszcze 2 nitki N. 40, a przy brzegu koronki i przy wypuklejszych figurach podkłada się nitek 4.



N. 20. Ząbki z tasiemeczki obrobionej szydełkiem.



N. 21. Ślubne ubranie głowy. Patrz ryc. 31.

N. 6. Kapelusz aksamitny okrągły, z rondem z przodu przeciętem.

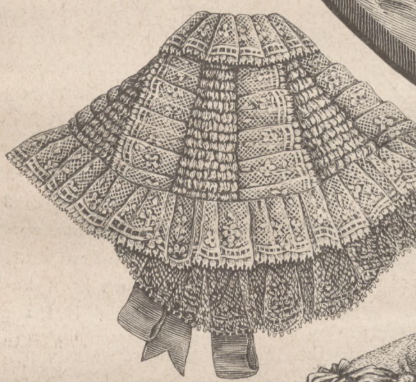
Główka kapelusza jest gładko pokryta aksamitem, a rondo 6 cent. szerokie objęte 3—4 cent. szeroko aksamitem marszczonym, przecięte jest w środku, z jednej strony w górę podwinięte a z drugiej spuszczone na dół. Ubranie kapelusza stanowi z jednej strony przypięte długie czarne strusie pióro, z drugiej rząd pomponów ponsowych do cieniu.

N. 7. Kapelusz filcowy z rondem w górę podniesionem.

Bronzowy kapelusz miał rondo oszyte dwoma skosami aksamitu $1 \frac{1}{2}$ cent. szerokiemi. Główka z jednej strony ubrana była skosem 32 cent. szerokim w fałdy złożonym, z tyłu stalowemi gwiazdkami przypiętym, z drugiej przypięte jest długie strusie pióro, którego włókienka od góry są ciemno-zielone, dalej cieniowane od ponsowego do jasno-bronzowego koloru.

N. 8—11. Woreczek do robót.

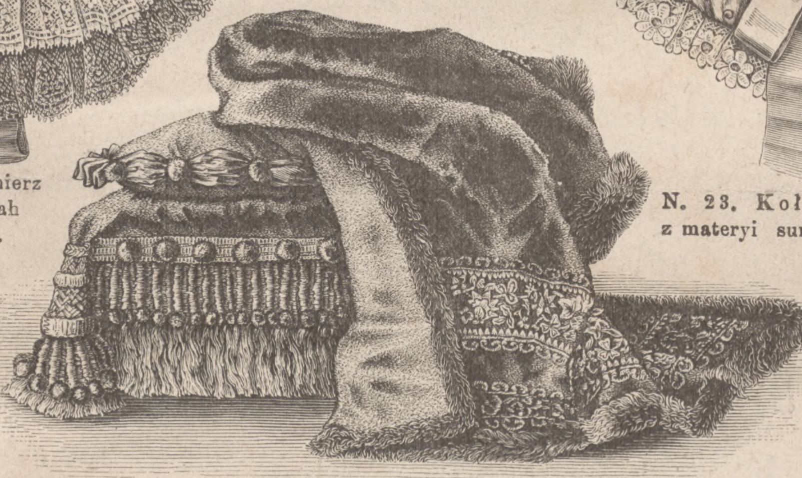
Z materyału gobelinowego w rzucik, lekko wyszyty i ozdobiony torsadką z jedwabnego sznureczka, robioną na widełkach, lub torsadką z ząbków z plecionki kolorowej obrabianej jedwabiem, ściegiem szydełkowym podług ryc. 8. Ucho do woreczka robione na drutach czterema oczkami w koło ze sznureczka jedwabnego kolorowego; zobaczyć próbkę ryc. 11. Kwasty z rozczesanej kolorowej włóczki.



N. 22. Kołnierz z białej surah i koronki.



N. 23. Kołnierz z materyi surah koloru vieil-or i takiej hiszpańskiej koronki.



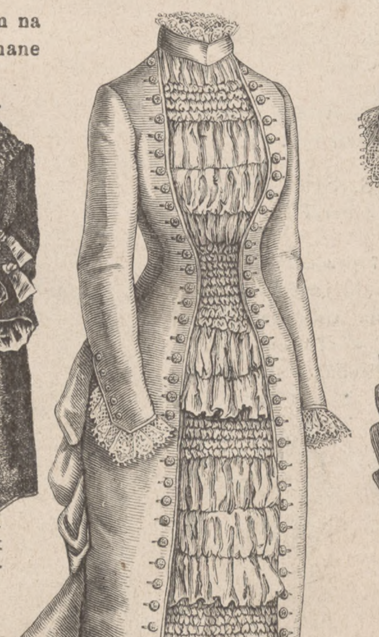
N. 24—26. Puf, poduszka i kołdra haftowana.



N. 27. Suknia z frakowym stanikiem.



N. 28. Długi płaszczyk zdobny kokardami. Patrz r. 3.



N. 31. Suknia ślubna formą princesse. Patrz ryc. 28 w N-rze 9.



N. 32. Suknia balowa ze stanikiem wyciętym kwadratowo.



N. 29. Suknia z trojakiego materyału. Patrz r. 30.



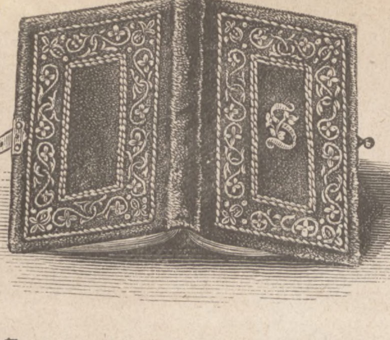
N. 30. Suknia z trojakiego materyału. Patrz ryc. 29.



N. 34. Kołnierz dla małej dziewczynki, robiony szydełkiem. Patrz ryc. 19.

N. 13. Poduszeczka do szpilek.

Zrobiona z kawałka ponsowego atłasu, wyszytego jedwabiem białym i bladoniebieskim i oliwkowym, ściegiem krzyżowym. Sznury i kwasty jedwabne tego co haft koloru.



N. 33. Okładka haftowana złotem do książki do nabożeństwa.

N. 14—16. Stołeczek pod nogi. Haft starodawny peruwiański.

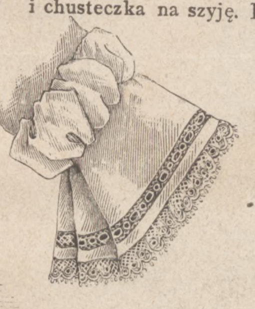
Postument do stołeczka robotą koszykarską, z trzcinki złoconej lub na bronzowo lakierowanej, miał 13 cent. wysokości, 33 długości a 21 szerokości. Poduszka wysłana, 9 cent. wysoka, z boków podłużnych pokryta jest bufą, 11 cent. szeroką, z pluszu bronzowego, a z wierzchu i z boków poprzecznych 14 cent. szerokim pasem repsu wełnianego bronzowego, na którym haft gobelinowy w guście peruwiańskim, robić włóczką crevel w kolorze czarnym, żółtym i ciemno-bronzowym. Trzy ściegi gobelinowe daje się na jeden krzyżyk deseniu. Przyszycie haftu z brzegów podłużnych przykrywa gruby sznur z włóczki hamburgskiej czerwonawo-bronzowej; z brzegów poprzecznych dana torsadka z takiej samej włóczki, robiona podług próbki ryc. 14. Pompony i kwasty z włóczki i jedwabiu.



N. 36—37. Uczesanie z włosami krótko upiętemi i chusteczka na szyję. Patrz ryc. 40.



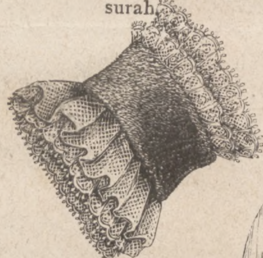
N. 38—39. Uczesanie z włosami długo upiętemi i kołnierz marszczony z materyi surah.



N. 41. Rękawek muślinowy do r. 22.



N. 40. Chusteczka na szyję. Patrz ryc. 37.



N. 42. Mankiet z kolorowego pluszu.

N. 17—18. Szlak i frendzla z perełek.

Ryc. 17 przedstawia w połowie naturalnej wielkości szlak, wyszyty na tiulu dwojakiemi perełkami woskowemi i sznelą białą jedwabną, służący do przyozdobienia sukien balowych lub wieczorowych. Ryc. 18 przedstawia trochę pomniejszoną frendzlę z perełek satynowych. Obiedwie próbki odrobione być mogą z dżetu lub z perełek mienionych albo do koloru sukni dobranych.



N. 35. Kołnierz z muślinu, koronki i wszywki, dla małej dziewczynki.

N. 22—23. Kołnierze strojne do teatru.

Obadwa kołnierze układa się na pelerynkowej tiulowej formie, mającej 19 tylnej a 17 cent. przedniej długości, 90 cent. dolnego, a 38 obwodu szyi. Model do ryc. 22 zrobiony był z białej surah i imitacyi dawnych koronek; 7 pasów przemarszczanej surah, mających 7 cent. dolnej a 2 górnej szerokości, przedzielane były nadmarszczoną, wzdłuż naszytą koronką, która przy wykroju szyi spuszczona jest na listewkę 2 cent. szeroką i zdobi także brzeg dolny. Długa kokarda ze wstążki 3 cent. szerokiej. Ryc. 23 przedstawia kołnierz pokryty dwoma bufami z atłasu vieil-or, przedzielanemi koronką hiszpańską takiegoż koloru. Bufki mające po 7 cent. szerokości, naszyte są woskowemi perłami; wykrój szyi wszyty w pasek 2 cent. szeroki, pokryty na dół spuszczoną koronką, która z przodu ułożona jest żabotowo. Kokarda ze wstążki 5 cent. szerokiej. *(D. n.)*



N. 45. Suknia z koronkowym kołnierzem i mankietami.



N. 43. Plecy do ryc. 25 w N. 9



N. 44. Plecy do ryc. 26 w N. 9.



N. 46. Ubranie wieczorowe.